5

MAGAZYN MUZYCZNY

Nr 5 (351) ● MAJ 1988 ● CENA 120 ZŁ

PRINCE

SISTERS OF MERCY

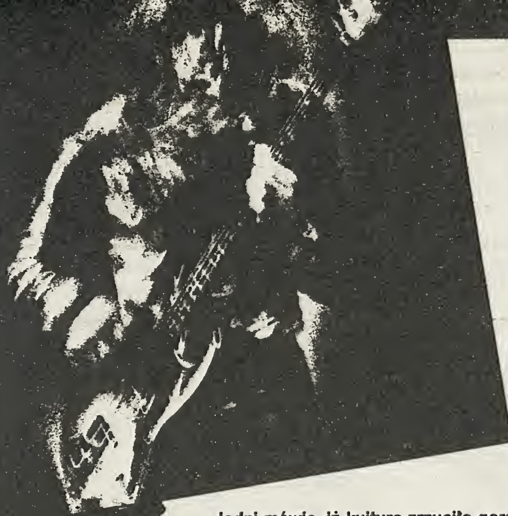
BOB MARLEY

THE DOORS

SŁOMA

CHŁOPCY Z PLACU BRONI

PL ISSN 0239-6904 Nr indeksu 36592



SKANSEN & WIDEO

Jedni mówią, iż kultura zrzuciła gorset, drudzy, iż poddała się reformie, ale tak naprawdę brakuje poważniejszej diagnozy, jaki jest stan w czasach, gdy wszystkie dziedziny życia ulegają przemianom. To prawda, iż obserwujemy wiele ciekawych zjawisk, że kultura – od tej pisanej z dużej litery do najbardziej masowej – mówi dzisiaj pełniejszym głosem, ale czy oznacza to, iż wszystko układa się bezkonfliktowo?

W kulturze dziś stare walczy nieustannie z nowym. Skostniałe administracyjne nawyki z inicjatywami i pomysłami, tradycyjne środki przekazu z nowoczesną techniką, uznane dziedziny sztuki z nowymi formami wypowiedzi. I choć w teorii wszyscy opowiadamy się za tym, co nowe, w praktyce często bywamy tradycjonalistami. Wystarczy wspomnieć o naszej ostrożności i próbie bagatelizowania wideo czy programów telewizji satelitarnej, gdy tylko się pojawiły, o lekceważącym stosunku do płyty kompaktowej, o nieuznawaniu takich zjawisk, jak muzyka rockowa, której odmawiano wszelkich wartości i traktowano jak sezonową modę. Ponieważ to, co wywodzi się z poprzedniego sposobu myślenia o kulturze, jeszcze nie zostało całkowicie odrzucone a nowe zasady jej organizacji nie wykrystalizowały się do końca, powstała luka, na której co zaradniejsi próbują nieźle zarabiać. Jakże powszechne stało się dziś zjawisko, że artyści biorą skromne pensyjki w państwowych teatrach czy zespołach, które nie mogą się wyzwolić z administracyjnie narzucanego limitu etatów, stawek i siatek płac, by prawdziwe pieniądze zdobywać na chałturach organizowanych przez przygodnych agentów, których nie krępują przepisy ustalone przez ministerstwo. Żyjemy przecież w czasach reformy, każdy kto ma pomysł, może działać. Niestety, reforma nie dotarła jeszcze do najważniejszych instytucji kultury, a ilość otrzymywanych pieniędzy nie zależy od jakości artystycznych działań.

Co zatem trzeba zrobić? Na pewno zmodyfikować wiele istniejących przepisów. Takich choćby, jak drakońskie cła na sprzęt potrzebny kulturze, w tym również na aparaturę muzyczną. Takich choćby, jak stawki honoraryjne, których wielkość mierzona jest dzisiaj przez buchalterów. Płaci się zatem za liczbę skomponowanych taktów, nie zaś za rzeczywistą wartość utworu. Twórcy żyją w sidłach nieśmiertelnych widełek, które nie pozwalają dać dziesięciokrotnie więcej za arcydzieło niż za ewidentnego gniota. O ciągnącej się latami i ciągle dyskutowanej kwestii tantiem dla wykonawców wstydzę się znów przypominać...

Przepisy jednak stosunkowo łatwo zmienić, znacznie trudniej natomiast to, co dziś doskwiera w sposób szczególny: jak zniwelować ów rozziew między wysokim poziomem kultury profesjonalnej a jej nikłym oddziaływaniem na polską powszedniość? Pytanie to dotyczy każdej ze sztuk. *Muzyka lekka, niemniej bogata w talenty jak muzyka poważna* – mówił niedawno w wywiadzie dla „Przeglądu Tygodniowego" sekretarz KC PZPR Andrzej Wasilewski – *traktowana po macoszemu przez rodzimą radiofonię (hołdując intratniejszym nagraniom z Zachodu), spętana przez nieszczęsne systemy honoracyjne, pozbawiona wyższych ośrodków kształcenia, odpowiedniej ilości renomowanych scen i rozwiniętego na miarę współczesnych wymogów mecenatu wytwórni płytowych – czy może w tych warunkach skutecznie oddziaływać na poziom powszechnych gustów i upodobań?*

Co stwierdzenie w tym retorycznym pytaniu – to problem. Kto jest w stanie je rozwiązać? Ile z tych spraw można ruszyć z miejsca decyzjami państwowego mecenasa, ile zaś zależy od inicjatywności ogniw współtworzących i współorganizujących życie kulturalne? W tym ostatnim pytaniu zawarty jest sens przemian dokonujących się dziś w kulturze, w której kształtują się nowe stosunki między władzą a instytucjami i placówkami kulturalnymi. Władza może wprowadzić w życie rozwiązania prawne takie choćby, jak stawki autorskie, stworzyć warunki dla powstania nowych uczelni muzycznych czy rozwoju przemysłu fonograficznego. To jednak dzisiaj już nie ona decyduje, jakie płyty da nam fonografia, czy znajdzie się na nich to, co rzeczywiście najważniejsze i najciekawsze w muzyce, czy też tłoczone będą one według indywidualnych gustów dyrektora firmy.

Równie wiele pytań można sformułować wówczas, gdy mowa o nowoczesnej technice. I znów cytat z Andrzeja Wasilewskiego: *Skłonni jesteśmy raczej kultywować przeszłość niż rozwijać nowe gatunki kultury. Wygrzebiemy ostatni grosz na kolejny skansen – tak w znaczeniu dosłownym i przenośnym – ale odmówimy walorów kulturowych rozlicznym współczesnym formom kultury ludycznej. Gatunków powstających na glebie nowych technik, z obawy, że stracimy na tym powagę i tożsamość, nie staramy się zawłaszczyć, udomowić, spolszczyć, uszlachetnić. W rezultacie zdajemy się na cudzą inwencję, najczęściej w najgorszym, standardowym wydaniu.*

Oto jeden z najważniejszych dylematów, przed którym stoimy. Zapatrzeni w przeszłość, tak chętnie opisywaną w sztuce, rozstrząsający ciągle swe narodowe wady i zalety, z natury rzeczy niechętnie dopuszczamy do głosu to, co nowe. Ono jednak już do nas przychodzi, często nieproszone. Czy mamy dalej udawać, że nic się nie zmienia?

W rozstrzyganiu spraw tak ważnych i fundamentalnych dla polskiej kultury może znajdzie się i kawałek miejsca dla sztuki tak małej z pozoru i nieważnej jak rock. Nie mówi się o nim zbyt często w poważnych dyskusjach, jakie się teraz toczą, ale przecież on istnieje i jest cząstką kultury. Tą cząstką, która na trwałe została dobudowana właśnie w ostatnich latach.

JACEK MARCZYŃSKI

DAWNIEJ JAZZ, rok zał. 1956

NR 5 (351) ● MAJ 1988

REDAGUJE ZESPÓŁ: Marian Butrym (redaktor naczelny), Adam Halber, Barbara Jóźwiak (sekretarz redakcji), Wiesław Królikowski, Ewa Marczyńska (z-ca sekretarza redakcji), Ewa Nowakowska, Korneliusz Pacuda, Roman Rogowiecki (komentator), Jerzy Rzewuski, Wiesław Weiss. Fotoreporterzy: Andrzej Kiełbowicz, Mirosław Makowski. Redaktor techniczny: Maria Kwiatkowska. Kierownik graficzny: Marek Trojanowski.

STALI WSPÓŁPRACOWNICY: Tomasz Beksiński, Rainer Bratfisch (NRD), Grzegorz Brzozowicz, Jacek Demkiewicz, Dorota Duda, Sławomir Gołaszewski, Piotr Majewski, Jacek Marczyński, Przemysław Mroczek, Wojciech Ossowski, Paweł Sito, Tomasz Słoń.

ADRES REDAKCJI: Magazyn Muzyczny, ul. Kredytowa 5/7 00-056 Warszawa, tel. 26-74-00.

WYDAWCA: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch", 00-666 Warszawa, ul. Noakowskiego 14.

DRUK: Zakłady Wklęsłodrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch", Warszawa, ul. Okopowa 58/72.

PL ISSN 0239-6904.
Nr indeksu 36592.
zam. 5539 U-92.

WARUNKI PRENUMERATY:

1. dla osób prawnych – instytucji i zakładów pracy:

– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miastach, w których znajdują się siedziby Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" zamawiają prenumeratę w tych oddziałach;

– instytucje i zakłady pracy zlokalizowane w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" i na terenach wiejskich opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

2. dla osób fizycznych – indywidualnych prenumeratorów:

– osoby fizyczne zamieszkałe na wsi i w miejscowościach, gdzie nie ma Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch" opłacają prenumeratę w urzędach pocztowych i u doręczycieli;

– osoby fizyczne zamieszkałe w miastach – siedzibach Oddziałów RSW „Prasa-Książka-Ruch", opłacają prenumeratę wyłącznie w urzędach pocztowych nadawczo-oddawczych właściwych dla miejsca zamieszkania prenumeratora. Wpłaty dokonują używając „blankietu wpłaty" na rachunek bankowy miejscowego Oddziału RSW „Prasa-Książka-Ruch";

3. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch" Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11. Prenumerata ze zleceniem wysyłki za granicę pocztą zwykłą jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy;

Termin przyjmowania prenumeraty na kraj i za granicę:

– w prenumeracie rocznej, półrocznej i kwartalnej – termin do 10 listopada na I kwartał, I półrocze i cały rok następny i do 1-go każdego miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty roku bieżącego.

Cena prenumeraty kwartalnej 360 zł, półrocznej 720 zł, rocznej 1440 zł.

CAŁY TEN ZGIEŁK

■ **Bruce Springsteen** wyraził zgodę, aby jego utwór *Born In The U.S.A.* ozdobił telewizyjny film dokumentalny o wojnie wietnamskiej *Dear America: Letters Home From Vietnam.*

■ **John Fogerty,** który podczas pobytu w Mishawaka w Indianie wpadł na chwilę do Center Street Blues Cafe, do tego stopnia zachwycił się występującym tam **The Power Trio,** że po powrocie do Nowego Jorku namówił szefów firmy Warner Brothers, by podpisali z nieznanym zespołem kontrakt. Prowadzona przez Duke'a Tumatoe grupa kończy właśnie pracę nad debiutanckim albumem. Produkcji płyty podjął się sam Fogerty.

■ **George Harrison** zdumiony sukcesem albumu *Cloud Nine,* zapowiedział na drugą połowę roku cykl koncertów w Europie i Stanach Zjednoczonych. Wyraził też nadzieję, że towarzyszyć mu będą muzycy, z którymi nagrał płytę: Jeff Lynne, Eric Clapton, Elton John i Ringo Starr.

■ *California Dreamin',* autobiograficzna książka **Michelle Phillips,** popularnej w Stanach Zjednoczonych aktorki, przed laty wokalistki związanej z zespołem The Mamas And The Papas, zostanie sfilmowana. W roli Michelle wystąpi jej córka Chynna, która sama próbuje swych sił na estradzie rockowej. W zespole, który niedawno utworzyła, występują córki Briana Wilsona (The Beach Boys) – Wendy i Carnie.

■ Grupa **Mr. Mister** wzięła udział w organizowanym każdego roku w Chile festiwalu Viña del Mar. Wykonała m.in. piosenkę Steviego Wondera *Higher Ground,* dedykując ją chilijskim aktorom prześladowanym przez rząd Pinocheta.

■ Kierownictwo firmy CBS przypomniało byłym członkom grupy **The Clash,** że w podpisanym przed laty kontrakcie zobowiązali się nagrać razem dziesięć albumów i do dziś obietnicy tej nie dotrzymali. Zastanawiając się, jak wybrnąć z kłopotliwej sytuacji, muzycy nadal pracują osobno, na przykład Joe Strummer skomponował i w marcu nagrał kilka utworów do filmu *Permanent Record.*

■ Nie istnieje już grupa **Hüsker Dü.**

■ **Patti LaBelle** robi karierę jako aktorka. Zachęcona sukcesem *A Soldier's Story* z własnym udziałem, przyjęła jedną z głównych ról w filmie *Sing.*

■ **Ten Years After,** jeden z najsłynniejszych zespołów brytyjskich *(Love Like A Man, I'm Going Home),* wznowił działalność i na lato przygotowuje wielkie tournée po Europie.

■ *Strange* to tytuł poetyckiego filmu ilustrującego pięć utworów z ostatniej płyty grupy **Depeche Mode,** wydanego właśnie na kasecie video (Virgin Video). Inne nowości na światowym rynku video: *Here Are* – Joy Division (Factory), *Video Singles* – Wet Wet Wet (Channel 5), *If Looks Could Kill* – Heart (PMI), *Coming Round Again* – Carly Simon (Channel 5), *Tear Down These Hits* – Billy Ocean (Virgin Video).

■ Ann Wilson zaprzeczyła pogłoskom o rozwiązaniu grupy **Heart.** Przyznała się zarazem, że rozpoczęła nagranie autorskiego albumu, a jej siostra Nancy pracuje od kilku miesięcy nad animowanym filmem muzycznym *The Dream Friends.*

■ Zamknął podwoje londyński klub **Marquee,** gdzie światową karierę rozpoczynały zespoły takie jak **The Rolling Stones,** The Who, Led Zeppelin czy Police. Jako jeden z ostatnich wystąpił w Marquee Robert Plant z nową grupą.

■ **Miles Davis,** który bardzo dba o swoje zdrowie, przerwał europejskie tournée w związku ze skaleczeniem nogi. Kiedy lekarze stwierdzili infekcję, opuścił Francję i zgłosił się do nowojorskiej kliniki, w której zwykle się leczy.

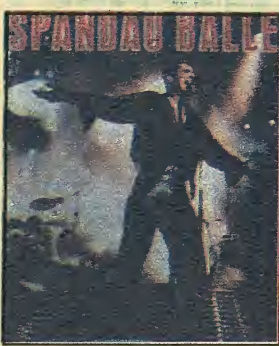
■ Grupa **Accept** po raz drugi od czasu występów w Polsce straciła wokalistę. Rob Armitage rozstał się z kolegami już w styczniu.

■ Obecnie zespół **Alice Coopera** współtworzą: Kane Roberts – gitara, Johny Dane – gitara, Paul Horovitz – instrumenty klawiszowe, Steve Steele – gitara basowa oraz Ken Mary – perkusja.

■ **Miriam Makeba,** legendarna śpiewaczka afrykańska, która ostatnio znowu cieszy się popularnością dzięki występom u boku Paula Simona, opublikowała autobiografię – *My Story.* Do najlepszych partii książki, jak twierdzi recenzent „International Herald Tribune", należą wspomnienia z ponurego dzieciństwa w murzyńskim getcie Johannesburga.



■ Redakcją „MM" wstrząsnęła wiadomość o rozwiązaniu duetu **Modern Talking.** Dieter Bohlen stwierdził, że *ma dosyć współpracy ze strachliwym pantoflarzem,* jak określił nadal zakochanego w żonie Thomasa Andersa.



■ Z zespołem **Cinderella** rozstał się perkusista Fred Coury. Jego miejsce zajął znany muzyk brytyjski Cozy Powell.

■ **Madonna** przyjęła drugoplanową rolę sekretarki w wystawionej przez jeden z mniejszych teatrów nowojorskich, Mitzi-Newhouse, komedii *Speed The Plow.*

■ Powstał film muzyczny oparty na piosenkach duetu **Pet Shop Boys** – *It Couldn't Happen Here.*

■ Na swej ostatniej EP-ce, nagranej na żywo, **Billy Bragg** mocno apeluje do młodych Amerykanów, by w zbliżających się wyborach prezydenckich nie głosowali na kandydata republikańskiego. Na okładce płyty pisze: *Proszę, bądźcie tym razem uważniejsi...*

■ Zreformowany w grudniu ub. roku zespół **Stiff Little Fingers,** który spotkał się z entuzjastycznym przyjęciem podczas swego pierwszego od 5 lat tournée, nie będzie jednak dłużej istniał. Wokalista i gitarzysta grupy Jake Burns otrzymał bowiem posadę producenta w Radio 1 *(moją ambicją jest zniszczenie zespołu Bananarama)* i tym samym rozwiązał zespół, mimo wielu ofert nagraniowych i koncertowych. Pozostałością tego krótkiego come-backu jest podwójny LP *Live And Loud* (Ling Records), zarejestrowany podczas ich grudniowych występów.

■ **Run D.M.C.** przegrali walkę na drodze sądowej ze swą wytwórnią Profile Records i musieli zgodzić się na pozostanie w jej szeregach praktycznie aż do XXI wieku!! W nowym kontrakcie zespół zobowiązał się bowiem do nagrania dla Profile 10 longplayów. Musi też zwrócić wytwórni pół miliona dolarów kosztów sądowych. Tym samym najnowsza ich duża płyta – kolejna po hitowym LP *Raisin Hell* (86 r.), który sprzedano w 3,3 mln egzemplarzy – wreszcie ukaże się. Jej tytuł – *Tougher Than Leather.*

■ Dużą popularnością cieszy się w Anglii... bułgarska muzyka ludowa. Oczywiście, głównie za sprawą wytwórni 4 AD, która niedawno wydała drugą część płyty *Le Mystere Des Voix Bulgares* (pierwszą, wydaną w 1986 r., sprzedano w 30 tys. egzemplarzy). Równocześnie jednak muzyka ta pojawiła się w brytyjskim radiu (grana jest m.in. przez J. Peela i A. Kershawa, często gości zwłaszcza w Radio 4). Jak oświadczył attaché kulturalny Bułgarii w Londynie: *Nie jesteśmy w stanie zaspokoić wszystkich kierowanych do nas próśb. Hippisi w Stanach i punki tutaj są bardzo zainteresowani bułgarskim folklorem.* Pojawiły się też wytwórnie specjalizujące się w wydawaniu tej muzyki (Hannibal, Topic), a niektórzy ludowi wykonawcy bułgarscy (np. Trio Bulgarka) mają wkrótce odbyć tournée po Anglii. Co na to nasi górale?

■ Zespół **The Waterboys** żyje!! Mike Scott And Co. ukończyli nagrywanie oczekiwanego już od ub. roku longplaya, który ma się ukazać w lipcu. Nie potwierdzone wieści głoszą, iż może to być podwójny lub nawet potrójny album. W momencie jego ukazania się The Waterboys mają wyruszyć na wielkie światowe tournée.

■ **The Cult** wyrzucili perkusistę Lesa Warne'a. W następstwie tego basista Kid Chaos opuścił zespół. Obecnie trwają poszukiwania nowego pałkera, a basistą został dotychczasowy drugi gitarzysta Jamie Stewart. Nowy LP grupy powstaje pod okiem i uchem producenta Boba Rocka, który robił m.in. płyty Bon Jovi i Aerosmith.

■ **Big Audio Dynamite** spędzili ostatnio wiele czasu w studiu nagraniowym i ich bardzo długo oczekiwany LP ma się ukazać w połowie czerwca.

■ Kompaktowa wersja płyty *Naked* zespołu **Talking Heads** jest jedną z pierwszych z zakodowanymi m.in. tekstami utworów wraz z ich tłumaczeniami na kilka języków, zapisem nutowym, akordami. Dane te można wyświetlać na monitorze video lub telewizyjnym przy pomocy nowej generacji odtwarzaczy CD lub specjalnego dekodera do obecnie produkowanych kompaktofonów.

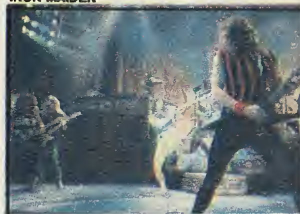
■ Japońska firma DENON wypuściła na rynek nową kasetę magnetofonową, która ucieszy nagrywających płyty kompaktowe. Model HD8/100 (chrom) pozwala na rejestrację ponad 50 minut muzyki na każdej stronie kasety, co w większości przypadków umożliwi nagranie w całości dwóch płyt CD. Warto podkreślić, że wydłużenie czasu nagrania osiągnięto nie przez zastosowanie cieńszej taśmy (ta jest identyczna z modelem 90-minutowym), ale przez opracowanie nowej konstrukcji rolek kasety.

■ W ramach akcji „piosenka jest dobra na wszystko", jedna z japońskich firm produkujących tzw. gadgety opatentowała (!) przezwatywy, które dzięki zastosowaniu odpowiedniego „micro-chipu", grają w pewnym momencie wybraną melodię. Ponieważ katalog oferowanych tytułów jest skromny, proponujemy następujące utwory: *How Deep Is Your Love* Bee Geesow oraz *The Most Happy Organ Ever* Billy'ego Prestona.

■ Kompilacjami *Past Masters Vol „1"* i *Vol „2"*, wydanymi 7 marca, wytwórnia EMI zakończyła reedycję katalogu nagrań **The Beatles** w wersji kompaktowej. Powszechna krytyka niestarannego wydania poprzednich CDs zespołu spowodowała, że tym razem do wyboru i opracowania nagrań zaangażowano niekwestionowanego fachowca nr 1 Marka Lewisohna. Zmieścił on i opatrzył komentarzem 33 utwory Beatlesów pochodzące z singli i tzw. czwórek, od *Love Me Do* do *You Know My Name,* tworzące, wraz z uprzednio wydanymi LPs, kompletny dorobek nagraniowy grupy. Lewisohn jest też autorem książki *The Beatles Recording Sessions,* która ukaże się w czerwcu i zawierać będzie superdrobiazgowy opis wszystkich sesji supergrupy The Beatles, uzupełniony obszernym wywiadem z Paulem McCartneyem.


PAUL SIMON

33 1/3


IRON MAIDEN

★ Ukazała się nowa płyta PRINCE'A *Love Sexy* (Paisley Park). W jej repertuarze znalazła się jedna piosenka z zapowiadanego w końcu ubiegłego roku, oficjalnie jednak nie wydanego *The Black Album – When 2R In Love.*

★ JON ANDERSON, wokalista grupy Yes, przygotował kolejną płytę solową – *In The City Of Angels* (CBS).

★ Ukazała się zapowiadana od kilku miesięcy, pierwsza od dawna płyta duetu DARYL HALL i JOHN OATES – *Ooh Yeah* (Arista). Nowy zespół popularnych wykonawców współtworzą gitarzysta Pat Buchanan, saksofonista Mark Rivera oraz perkusista Tony Beard.

★ Po siedmiu latach współpracy z firmą Geffen NEIL YOUNG ponownie podpisał kontrakt z wydawnictwem Reprise, z którym był związany od początku kariery. Nowy album nagrany z zespołem The Bluenotes, nosi tytuł *This Note's For You* (Reprise).

★ JEAN BEAUVOIR, były basista The Plasmatics, nagrał kolejny album jako solista – *Jacknifed* (Columbia).

★ W roli solistki debiutuje też JANE WIEDLIN, znana z zespołu Go-Go's. Jej płyta nosi tytuł *Fur* (EMI-Manhattan).

★ Po trzech latach przerwy wrócił do studia GRAHAM PARKER, jeden z najbardziej obiecujących wykonawców przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Dla firmy RCA nagrał album *The Mona Lisa's Sister.*

★ Zaskakującym powodzeniem cieszy się nowa płyta PREFAB SPROUT – *From Langley Park To Memphis* (Kitchenware). W jej nagraniu gościnnie wzięli udział Pete Townshend i Stevie Wonder. Współproducentem albumu jest Thomas Dolby.

★ Niestrudzony RICK WAKEMAN proponuje płytę *Zodiaque* (President), nagraną w duecie z Tomen Fernandesem.

★ Ukazał się wspomnieniowy album THE CLASH. Jego tytuł zmieniono z *Revolution Rock* na *The Story Of The Clash Vol. 1* (CBS).

★ Ubiegłoroczne tournée TINY TURNER po Europie udokumentowane zostało dwupłytowym albumem *Tina Live In Europe* (Capitol). Obok wielkich przebojów wokalistki znalazło się kilka soulowych standardów, m.in. *In The Midnight Hour, Land Of 1000 Dances* oraz *A Change Is Gonna Come.* Wersja CD zawiera cztery dodatkowe nagrania, m.in. *River Deep Mountain High.*

★ Prawdziwą furorę robi w Stanach Zjednoczonych debiutancka płyta grupy KINGDOM COME z Hamburga, zatytułowana po prostu *Kingdom Come* (Polydor).

★ Dyskografia znanej dobrze polskim fanom grupy IRON MAIDEN powiększyła się o album *Seventh Son Of A Seventh Son* (EMI).

★ KROKUS, jedna z lepszych grup metalowych na kontynencie, firmuje album *Heart Attack* (MCA).

★ Inne nowości ze świata ciężkiego rocka i okolic: *The First Defiance* – Agony (Music For Nations), *Lap Of Luxury* – Cheap Trick (Epic), *Angst* – Chrome Molly (I.R.S. - MCA), *Night Of The Demon* – Demon (Clay), *On Target* – Fastway (TWR), *Die For Allah* – Fearless Iranians From Hell (Big Takeover), *Monument* – Hallows Eve (Roadrunner), *Wings Of Heaven* – Magnum (Polydor), *Ain't Misbehavin'* – UFO (Heavy Metal).

★ Nowy album duetu ERASURE nosi tytuł *Innocence* (Mute).

★ Pisaliśmy już, że słynna grupa amerykańska LYNYRD SKYNYRD wznowiła działalność. Ich ubiegłoroczna podróż koncertowa po USA udokumentowana została albumem *Southern By The Grace Of God, Lynyrd Skynyrd Live, Tribute Tour 1987* (MCA).

★ BRUCE HORNSBY, który zaczynał swą karierę jako kompozytor przebojów Huey Lewisa, nagrał z zespołem The Range drugi już album autorski: *Scenes From The Southside* (RCA).

★ Płyta z muzyką z filmu *Bright Lights Big City* (Warner Bros) obok znanych nagrań przynosi nowe piosenki PRINCE'A i DONALDA FAGENA. Podobny charakter ma album *She's Having A Baby* (I.R.S.) z nowymi utworami Dave'a Wakelinga, Kate Bush, grupy XTC i innych.

★ Gwiazdą amerykańskiego rocka lat dziewięćdziesiątych będzie HENRY LEE SUMMER. Tak twierdzą fachowcy z tygodnika „Billboard". Młody wykonawca pochodzi ze stanu Indiana i nie jest debiutantem – pierwszych nagrań dokonał w 1982 roku. Jego nowy, trzeci już album, nosi tytuł *Henry Lee Summer* (CBS Associated).

★ Dalsze nowości: *Glasnost* – Barclay James Harvest (Polydor), *Starfish* – The Church (Arista), *Bloomchild* – Dennis De Young (MCA), *Fearless* – Eight Wonder (CBS), *Pictorial Jackson Review* – Felt (Creation), *File Under Rock* – Eddy Grant (Parlophone), *Momentum* – Steve Hackett (Start), *Gagged But Not Bound* – Albert Lee (MCA), *Honeymoon In Red* – Lydia Lunch (Widowspeak), *In Full Effect* – Mantronix (Ten Records), *39 Minutes* – Microdisney (Virgin), *The Nils* – The Nils (Rock Hotel).

★ Występy grupy WALL OF VOODOO w Melbourne w Australii oraz małym klubie w Bullhead City w Arizonie udokumentowane zostały albumem *The Ugly Americans In Australia* (I.R.S.).

★ Zespół ELOY z Hannoweru nagrał płytę *Ra* (SPV).

★ ZIGGY MARLEY AND THE MELODY MAKERS, grupa utworzona przez dzieci Boba Marleya, nagrała pod kierunkiem Chrisa Frantza i Tiny Weymouth z Talking Heads w roli producentów album *Conscious Party* (Virgin).

★ *The Seventh One* – taki, niezbyt oryginalny tytuł otrzymała nowa płyta grupy TOTO (Columbia).

★ Nagrania z występu zespołu X w Los Angeles wypełniają album *Live At The Whiskey A-Go Go On The Fabulous Sunset Strip* (Elektra).

★ ASWAD, najpopularniejsi dziś wykonawcy reggae, nagrali płytę *Distant Thunder* (Mango).

★ Wspomnieniowy charakter ma album *The Toughest, The Selection 1978–1987* (Parlophone), sygnowany nazwiskiem nieżyjącego już króla muzyki reggae – PETERA TOSHA.

★ ROCKY HILL, brat Dusty'ego, basisty zespołu ZZ Top, nagrał autorską płytę zatytułowaną po prostu *Rocky Hill* (Virgin).

★ IAN MATTHEWS, przed laty lider grupy Matthews Southern Comfort, przez blisko pięć lat zwlekał z nagraniem płyty *Walking A Changing Line* (Windham Hill).

★ Omawiany na łamach „MM", amerykański album grupy DEZERTER ukazał się też w Wielkiej Brytanii pod tytułem *Underground Rock'n'Roll* (Maximum Rock'n'Roll).

★ Wytwórnia Factory wydała nie lada gratkę dla fanów JOY DIVISION. Na longplayu *Substance* znalazło się kilka rzadkich nagrań (m.in. *Warsaw, Incubation, Digital, Auto-Sugestion)* oraz utwory z singli (m.in. *Transmission, Atmosphere, Love Will Tear Us Apart).*

★ Zespół THE JESUS AND MARY CHAIN firmuje składankowy LP *Barbed Wire Kisses* (Blanco Y Negro), zawierający głównie nagrania ze stron B singli oraz kilka nowych utworów.

★ Również kompilacyjną płytę wydała grupa PSYCHEDELIC FURS. Na LP *All Of This Or Nothing* (CBS) znalazło się 10 starych nagrań (od *India* i *Sister Europe* po *Heaven)* oraz nowe utwory...

★ *Under The Covers* (WEA) to longplay zawierający 12 cover-versions (po naszemu: przeróbek) znanych staroci w wykonaniu m.in. ECHO AND THE BUNNYMEN *(People Are Strange* Doorsów), AZTEC CAMERA *(Jump* Van Halen), PRETENDERS *(Watcha Gonna Do About It* Small Faces).

★ W poprzednim numerze zamieściliśmy dwa różne tytuły solowej płyty MORRISSAYA. Otóż *Education In Reverse* to tytuł roboczy, który na płycie zmieniono na *Viva Hate.*

Ze względu na to, że już większość płyt ukazuje się również na CD, zaniechaliśmy podawania tej informacji przy każdej płycie.

BANANARAMA BEZ SIOBHAN

Tego można było się spodziewać w kontekście ubiegłorocznego ślubu roku czyli małżeństwa Dave A. Stewarta z blond Bananaramką nazwiskiem Siobhan Fahey. Mając u boku tak świetnego kompozytora, aranżera i producenta jak Dave, Siobhan, po okresie macierzyńskim, postanowiła rozstać się z koleżankami i wybrała karierę solową. Keren Woodward i druga blondynka Sarah Dallin, zachęcone powodzeniem ostatniego LP *VOW* i sukcesami singli *I Heard The Rumour* oraz *Love In The First Degree* słusznie szybko zaczęły rozglądać się za odpowiednią następczynią Siobhan i wybór padł na wokalistkę zaprzyjaźnionej formacji The Shille Lagh Sisters, kruczowłosą Jacquie O'Sullivan. Czy była to właściwa decyzja, pokażą dopiero pierwsze nagrania w tym nowym składzie, choć nie ulega wątpliwości, że Jacquie bardziej pasuje do lansowanego od niedawna bardziej seksownego image'u Bananaramy. Swoją drogą, te ongiś czupiradełkowate postpunkówki, które zawsze uprawiały typową muzykę pop, są najbardziej popularną żeńską formacją tego gatunku w Anglii i mają na swym koncie sporo hitów.

(rr)

KRZYKI I SZEPTY

✻ Na początku maja w Warszawie odbędzie się **II Festiwal Życia.** Będzie dużo różnych imprez, m.in. koncert „Krajowa Scena Młodzieżowa". Wystąpią Róże Europy, Formacja N.S., Malarze i Żołnierze, Ziyo i wiele innych polskich grup. Rockowymi gwiazdami festiwalu będą Voo Voo i Sztywny Pal Azji.

✻ W dn. 6–7 kwietnia Telewizja Walijska nakręciła w „Hybrydach" film dokumentalny o muzyce w Polsce i okolicach. Nasz kraj reprezentowały **Aurora** i **Armia**, a okolice radziecka Brigada S i walijski Cyrff. Po koncertach odbyła się premierowa prezentacja pierwszego i jedynego wideoclipu Aurory pt. *Polska.*

✻ **Rozgłośnia Harcerska** rozwija swoją fonograficzną działalność – przygotowywana jest druga edycja „Radia Nieprzemakalnych", gdzie znajdą się m.in. nagrania zespołów Malarze i Żołnierze, Chłopcy z Placu Broni, Rebeka, Kobranocka i in. Wydana zostanie również samodzielna płyta Formacji Nieżywych Schabuf. Obie wyda Wifon.

✻ Jeszcze o **Aurorze:** zespół wybiera się na tournée po Związku Radzieckim, które prawdopodobnie odbędzie się pod koniec maja. Po powrocie grupa w składzie poszerzonym o kol. Banana – waltornistę z Armii, nagra płytę dla Klubu Płytowego „Razem".

✻ Jeszcze o Rzeszowie: po wielu „maceracjach" (lutowy numer „MM") wokalista zespołu 1984 **Paweł „Tchester" Tauter** pogodził się z kolegami z Wańki Wstańki. Obecnie wszyscy żyją w zgodzie i wspólnie nagrali płytę *1984.*

✻ Zespół **Kelo** powstał na przełomie lutego i marca br. Nagrywa w studiu Andrzeja Puczyńskiego, a gra w składzie: Mariusz (g, b), Szczota (dr), Miluś (g), Maciek (kbds), Wojtek (voc, kbds), Kinga i Kasia (chórki). Z Bożeną Pijanowską nagrywają „Teleranek", grają zaś muzykę pop i chcą uzyskać własne brzmienie. Powodzenia!



Laureaci METRONOMU '87 Fot. LEOPOLD DZIKOWSKI

✻ Laureatami **Metronomu '87,** czyli dorocznych nagród muzycznych „Sztandaru Młodych" zostali: Tomasz Lipiński, Wojciech Waglewski, Stanisław Sojka, Tadeusz Makowski i Peter Schimmelpfennig, „Radio Nieprzemakalnych", Wojciech Młynarski, Jerzy Gruza, Andrzej Zaucha, Adam Kosiorek, Polska Agencja Artystyczna PAGART. Gratulujemy!

✻ **Monika Adamowska** powraca na scenę po półtorarocznej przerwie związanej m.in. z urodzeniem syna. Wraz z grupą akustyczną, którą zorganizowała po odejściu z Joy Bandu, przygotowała program złożony z utworów z repertuaru Janis Joplin. Od kwietnia występuje w klubach studenckich i jazzowych na terenie całego kraju, w czerwcu zaś podobno wyjeżdża na koncerty do Wiednia.

✻ Kolejny **Festiwal Muzyki Rockowej „Jarocin '88"** odbędzie się między 3–6 sierpnia br. Szefem artystycznym Festiwalu jest Leszek Winder. Wszystkie zakwalifikowane grupy wystąpią na dużej scenie, zaś w Amfiteatrze zagrają kapele, które nie zmieszczą się w przeglądzie. Cena karnetu – 2500 zł. Zwycięzca otrzyma „Złotego Kameleona" z załącznikiem w postaci 200 tys. zł. Termin nadsyłania zgłoszeń do konkursu upływa 15 maja. Pod adresem Jarocińskiego Ośrodka Kultury (Pl. Młodych 1, 63-200 Jarocin) należy przesłać kasetę magnetofonową z 5 utworami, krótką informację o zespole i charakterze wykonywanej muzyki, czarno-białe zdjęcie oraz adres kontaktowy. Kwalifikacja nastąpi po przesłuchaniu kaset i na podstawie rekomendacji. Wszystkie imprezy towarzyszące będą się odbywały pod patronatem ZSMP i Młodzieżowej Agencji Kultury „MAK".

✻ Wcześniej, bo 26.06. w opolskiej hali widowiskowej (nie w Amfiteatrze) odbędzie się w ramach XXV Festiwalu Opolskiego koncert **„Rock Opole '88 (Jarocin w Opolu)".** Wystąpią m.in. TSA, Dżem, Turbo, Voo Voo, Lech Janerka, Armia, Sztywny Pal Azji, Milion Bułgarów, Kayah, Wilczy Pająk, Wańka Wstańka, Stan Zvezda. Koncert poprowadzą Kora i Jan Chojnacki. Głównym organizatorem jest Marcin Jacobson, który zapowiada jeszcze inne atrakcje. Czy tym razem w Opolu rock będzie miał więcej szczęścia, zobaczymy.

✻ **Ścierańscy Surzyn Trio** są coraz bardziej znani i wysoko oceniani... za granicą. Muzycy odbyli bardzo udane (i, co szczególnie podkreślają, profesjonalnie zorganizowane przez Attilę Malecza, węgierskiego muzyka i animatora) tournée na Węgrzech. Zagrali w 7 miastach, m.in. cztery koncerty w Budapeszcie (jeden zorganizowano przy współudziale Polskiego Ośrodka Kultury). Wcześniej mogli ich oglądać jazz-rock fani w RFN i Berlinie Zachodnim (w słynnym „Quasimodo"). W kraju zainteresował się nimi znany animator jazzowy Andrzej Kuba Florek z Krakowa. Dzięki niemu również polska publiczność mogła posłuchać 18 koncertów tego bardzo ciekawego i jedynego w kraju zespołu wykonującego muzykę fusion. W kwietniu i w maju znowu koncerty zagraniczne: RFN i Szwajcaria.

NOCNA ZMIANA BLUESA

„Stodoła", Warszawa 25.03.88

Piątek wieczór. Na sali wygaszone światła. Na stolikach palą się świece. Wokół stolików przycupnięte grupki słuchaczy. Na scenie Nocna Zmiana Bluesa. Wieczór klubowy – spotkanie – koncert promocyjny płyty *The Blues Nightshift.* Nastrój, w którym „muzyka nowej ery" ukazuje własne źródła. Blues jest dziś dostępny dla każdego. Tych czterech facetów na scenie robi coś dla nas, słuchających: przypomina czas początku, czas narodzin muzyki. A muzyka jest nie tylko wyrazem stanu ducha, ale realnie istniejącym obrazem duchowego związku wszystkich członków wspólnoty.

Nocna Zmiana Bluesa to bodaj najlepsza dziś formacja bluesowa. Spontaniczność i skupienie, żywiołowość i koncentracja, a jednocześnie żywy kontakt: i muzyków między sobą, i zespołu z widownią. Naturalne podejście do muzyki i do przekazu. Przychodzi mi na myśl, że to, iż N.Z.B. korzysta z naturalnych brzmień akustycznych instrumentów, oczyszcza tę muzykę z wszelkich przypadkowych mód i artystycznych tendencji. Oczyszcza również atmosferę, przywracając pamięć klimatu bliskiego naturze, bez cywilizacyjnego szumu i hałasu.

Coraz częściej jestem przeświadczony, że taka właśnie muzyka stanowi dziś jedyną pozytywną alternatywę dla umęczonych informacyjną pogonią umysłów. I dla serc skołatanych pośpiesznym przetaczaniem codziennej potoczności. Oto dźwięki, akordy, harmonie – poprzez stałość konwencji bluesowego standardu zatrzymują czas. A w zatrzymanym czasie ważna staje się chwila, w której się jest. I miejsce, w którym się jest. Miejsce spotkania. Nocna Zmiana. Blues.

SŁAWOMIR GOŁASZEWSKI

Fot. MONIKA DZIERAN



JONASZ KOFTA

(1942–1988)

Pamiętajcie o ogrodach, przecież stamtąd przyszliście...



GIEŁDA PŁYT

◄ Poszukuję longplayów następujących zespołów: The Artwoods, The Shadows, The Animals, Graham Bond Organisation, Manfred Mann, The Hollies, The Rolling Stones, Peter & Gordon, Billy Kramer & Dakotas, Dave Clark Five, The Byrds, Booker T & MG's, The Fortunes. Janusz Sadłowski, ul. Sierankiewicza 30/5, 30-317 Kraków

◄ Udostępnię nagrania z płyt takich wykonawców jak: Presley, Julio Iglesias, Boney M., Abba, The Beatles, CC. Catch, Wham, Madonna, Jenifer Rush, Modern Talking, Sabrina, Tina Turner, Donna Summer i wielu innych. Poszukuję kontaktu z posiadaczami płyt tych i innych wykonawców. Janusz Kwiatkowski, ul. Marzysza 2, 08-460 Sobolew

◄ Następujące płyty i kasety – Black Sabbath, UFO, Whitesnake, Rainbow, Deep Purple, Thin Lizzy, Kiss, Led Zeppelin, Nazareth, Queen, The Police, Jethro Tull, Emerson Lake and Palmer, Yes, New England, Jean Michel Jarre, Nena – sprzedam lub zamienię na płyty i kasety z muzyką heavy metal. Andrzej Terlecki, ul. Szafera 80/10, 71-246 Szczecin

◄ Poszukuję wszelkich materiałów dotyczących zespołu The Beatles włącznie z kasetami video, a także płyt King Crimson, Procol Harum, Pink Floyd, Iron Butterfly i George'a Harrisona. Robert Lipiński, ul. Szkolna 21/18, 67-100 Nowa Sól

◄ Sprzedam płyty Modern Talking *(Let's Talk About Love, Ready For Romance, In The Middle Of Nowhere).* Jarosław Ciechanowski, Oś. XXX-lecia A2/H18, 73-110 Stargard Szczeciński

◄ Sprzedam następujące płyty w dobrym stanie: Maanam, Lady Pank, Kombi, Modern Talking, Kaja Goo Goo, *Top'84,* a także wiele singli. Poszukuję płyt Depeche Mode. Ireneusz Michalski, ul. Chełmońskiego 15/7, 47-400 Racibórz

◄ Pilnie poszukuję płyt: *Live* – Lombard, *Don't Suppose* – Limahl, *Classic* – Classix Nouveaux. Kupię je lub wymienię na płyty Modern Talking, TSA, Kombi, Kat, Papa Dance, Venom, Kult, Bruce and Bongo i wiele innych. Waldemar Olek, ul. Ks. W. Bliźńskiego 22, 62-850 Lisków

◄ Kupię kasety z nagraniami wszystkich płyt i koncertów Depeche Mode. Poszukuję też nagrań i informacji o zespole Front 242. Grzegorz Borawski, ul. Zamenhofa 11/81, 81-218 Gdynia

◄ Kupię płyty zespołów: Scorpions, Accept, Loudness, Ratt i innych kapel metalowych. Jarosław Fedorczyk, ul. Przybylskiego 22/39, 20–465 Lublin

◄ Single zespołów: T. Love, Armia, Róże Europy, 1984, Absurd, Kosmetyki Mrs. Pinki oraz longplaye Azylu P. i Maanamu kupię lub zamienię na płyty Klubu Płytowego „Razem". Dariusz Szadkowski, ul. Wolności 443/2, 41-800 Zabrze

◄ Kupię płytę *666* zespołu Kat. Piotr Kukiełka, ul. Południowa 14, 55-061 Łagiewniki, woj. wrocławskie

◄ Poszukuję nagrań, wszelkich wiadomości (wywiady, recenzje) o Korze i Maanamie. Ponadto poszukuję „znaków firmowych" różnych zespołów, szczególnie heavymetalowych. Arkadiusz Fołtyński, ul. Latki 5a/6, 41-704 Ruda Śląska 4

◄ Kupię lub wypożyczę do jednorazowego przegrania kasety i płyty zespołów speed- i thrashmetalowych. Piotr Gorszkowski, Oś. XXX-lecia A11/e10, 73-110 Stargard Szczeciński.

◄ Sprzedam lub wymienię płyty Deep Purple, Dire Straits, Modern Talking, The Beatles, płyty Klubu Płytowego „Razem" oraz kasety Maanamu, Budki Suflera i innych (dokładny wykaz po załączeniu znaczka pocztowego) Tomasz Sałagacki, ul. Spacerowa 7 m 62, 97-310 Moszczenica

Uwaga! Większość płyt, które chce kupić Bronisław Ehrlich jeszcze się nie ukazała. Prosimy też, aby objętość ogłoszenia nie przekroczyła 1/2 strony zeszytu szkolnego (duże, czytelne pismo). Z powodu objętości właśnie nie możemy wydrukować ogłoszenia Jacka Kwaśniewskiego.

●KUPON● GIEŁDA PŁYT

Z WYSTAWY I SPOD LADY

● Wypada zacząć od udanego zakupu licencyjnego wytwórni Pronit. Wydała ona longplay **Jerry'ego Lee Lewisa,** jednego z klasyków rock'n'rolla. Płyta zawiera atrakcyjny i trafny wybór utworów z początkowych, najbardziej znaczących lat jego kariery (1956 – 1961); *Golden Rock'N'Roll Hits,* PLP 0058.

● Inne nowości Pronitu: 1) pierwszy longplay z zestawu *Live, April 1, 1987,* dokumentującego zeszłoroczny występ grupy **Perfect** na Stadionie Dziesięciolecia (PLP 0077-1), 2) druga duża płyta zespołu **Klincz,** który nadal stara się przekonać młodzieżowe audytorium do swej komercyjnej muzyki; tym razem Ryszardowi Kniatowi i jego kolegom pomaga w tym **Urszula,** gościnnie śpiewająca w dwóch piosenkach *(Jak lodu bryła,* PLP 0068), 3) kolejna próba tworzenia polskiej muzyki heavy metal – debiutancki longplay **Voo Doo** (PLP 0071).

● **Dżem** doczekał się czwartego longplaya. Tym razem jest to album z koncertowymi – pochodzącymi z końca 1986 r. – wersjami utworów, które w studyjnej postaci ukazały się już na singlach i na debiutanckiej dużej płycie, *Cegła (Tzw. przeboje – całkiem live,* Muza, SX 2561).

● O **Ryszardzie Skibińskim** przypomina longplay *Ostatni koncert,* zawierający zapis jego występu podczas „Rock Areny 83", w gronie czołowych muzyków młodzieżowych. Trudno traktować tę płytę inaczej niż dokument: w dwa tygodnie później Skibiński zmarł tragicznie; Muza, SX 2538.

● I jeszcze jedna nowość tłoczni Muza. Bardzo reklamowana i bardzo chwalona ostatnio Katarzyna Szczot czyli **Kayah** ma już swój pierwszy longplay. Piosenkarce towarzyszyła w nagraniach międzynarodowa grupa muzyków, a utwory skomponowali dwaj Anglicy: zasiedziały w Polsce, dobrze znany naszej publiczności John Porter i Neil Black, kiedyś producent eksportowych nagrań Maanamu. Kolejny dowód, że opiekująca się Kayah firma Rogot myśli o jej zagranicznej karierze. Poczekamy, zobaczymy; SX 2594.

● Wiele dziwnych plotek narosło wokół płyty *Rock'N'Roll* grupy **TSA.** W końcu jednak Tonpress-KAW wydał ten longplay i chociaż od momentu powstania nagrań upłynęły aż dwa lata – wypada on całkiem efektownie w kontekście krajowego rocka. Może też nawet intrygująco, bo Marek Piekarczyk nie zrezygnował ze swego rodzaju dydaktyki w tekstach piosenek (SX T-96).

● Coś dla wielbicieli punkrocka: mała płyta grupy **Armia** z utworami: *Aguirre, Trzy znaki, Saluto* (Tonpress, S-648).

● Kilka lat temu zespół **String Connection** próbował wejść na zachodnioeuropejski rynek płytowy, współpracując z firmą Poll Music. Z eksportowymi poczynaniami tria Dębski-Przybyłowicz-Ścierański można zapoznać się dzięki Wifonowi *(String Connection,* LP-116).

● **Wojciech Skowroński** nie rezygnuje z nagrywania płyt. Najnowszy rezultat: *Jak się bawisz?,* Wifon, LP-113.

● Na zakończenie jeszcze jedna nowość z Pronitu: longplay **Lombardu** *Kreacje;* być może płyta stawia znak zapytania nad przyszłością zespołu (PLP 0074).

STARE, ALE JARE



Fot. MIROSŁAW STĘPNIAK

KATARZYNA SOBCZYK

Mówi się o nich nieco protekcjonalnie per „dinozaury", ale przecież wcale nie żądają dla siebie taryfy ulgowej podczas występów. Zorganizowane przez Oddział Warszawski ZAKR koncerty sławnych kiedyś wokalistów cieszyły się ogromnym powodzeniem u publiczności, wśród której wcale nie dominowali czterdziestolatkowie. Okazało się bowiem, po raz n-ty, że stare, ale wciąż popularne przeboje wczesnej epoki rocka ciągle jeszcze fascynują słuchaczy i że melodyjne piosenki lat minionych mają swoich zaprzysięgłych zwolenników.

Ej...łza się kręci, że były czasy, kiedy piosenka dostarczała rozrywki! W pierwszej edycji seryjnego programu wystąpili gorąco witani: Katarzyna Sobczyk, Wojciech Skowroński (wydał niedawno w Wifonie bardzo udaną płytę) oraz grupa Skaldowie z Jackiem Zielińskim. Zapowiadał Marek Gaszyński, a muzyczne imprezę „Gdzie są przeboje z tamtych lat" przygotował dawny solista, a dzisiaj ceniony kompozytor – Ryszard Poznakowski.

Odpowiedź na pytanie „Gdzie są przeboje...?" brzmi prosto: w pamięci. **(mb)**

ROCKFEST

Pałac Kultury,
Praga 1–3.04.88

Czy można nie lubić Pragi? Nieee. Czy można polubić czeski i słowacki rock? Hm, trudne pytanie. Odpowiedź na nie miał dać zorganizowany już po raz trzeci Rockfest, czyli taki czechosłowacki Jarocin, tyle że organizowany przez młodzieżową organizację SSM (tamtejszy odpowiednik ZSMP) i odbywający się w Bardzo Oficjalnym Obiekcie, jakim jest Pałac Kultury, w którym odbywają się m.in. zjazdy KPCz. Ale znakomite wyposażenie techniczne Palkulu – jak go nazywają Czesi – wielość sal, dobre zaplecze, niezła akustyka, wewnętrzna TV itp., pomogły w sprawnym zorganizowaniu tak ogromnej imprezy.


TŘI SESTRY

W tym roku organizatorzy postawili przed sobą bardzo ambitny cel – pokazanie wszystkiego, co w czeskim i słowackim rocku najciekawsze i najprawdziwsze. Dano szansę zagrania prawie każdemu wykonawcy, bez względu na rodzaj muzyki. Dzięki temu wystąpiła spora reprezentacja punkowa, osobna scena przeznaczona była dla metalowców (jako jedyni grali poza Palkulem), pokazali się też awangardziści, noworomantycy, bluesowcy i Bóg wie co jeszcze. Obok siebie grali amatorzy i profesjonaliści.

Idea jest piękna, ale zabójcza dla słuchacza. To, co stało się przekleństwem Jarocina, pokonało także pozornie słuszne przesłanie Rockfestu. Ilość. W ciągu trzech dni wystąpiło w sumie ok. 90 wykonawców, a każdego dnia koncerty odbywały się równolegle na 4 scenach. Przy najlepszych nawet chęciach nie sposób było zobaczyć choćby połowy wykonawców. A starałem się bardzo.

Spośród tych, których zdołałem usłyszeć i zrobili na mnie jakieś wrażenie wymienić powinienem na pewno punkowe Tri Sestry (harmonia i punk to ciekawy mariaż), Hrdinove Nove Fronty (coś z okolic Dead Kennedys), Michaeluv Strycek (hm, niech będzie – skrzyżowanie Joy D. i Killing Joke, ale jeszcze dość amatorskie), babska Panika (eklektyzm totalny, ale ile wdzięku i świeżości) oraz najciekawszy bez wątpienia zespół na Słowacji, czyli Bez Ladu A Skladu.

Ogólne wrażenie, oceniając na podstawie tego co zobaczyłem i usłyszałem na koncertach oraz z kilku płyt i wielu kaset, jest krótkie – dużo bezpłciowej muzyki, kilku ciekawych wykonawców, żadnych rewelacji. Na szczęście czeskie piwo jest wciąż OK.

TOMASZ SŁOŃ

ROCKFEST

miejsce jak wyżej

Gdy ogląda się po raz drugi jakiś przegląd czy festiwal, niemal bezwiednie nasuwają się porównania. Drugi Rockfest szczególnie do nich skłaniał. Przede wszystkim liczba prezentowanych grup (patrz recenzja wyżej) skutecznie uniemożliwiła obejrzenie choćby tylko najbardziej interesujących kapel (nawet gdyby się wiedziało wcześniej, które to są). W zeszłym roku, choć z trudem, było to możliwe. Wiele z tych zespołów, które udało mi się obejrzeć po raz drugi, czeka dalsza długa i żmudna praca na próbach, bo mimo upływu roku nie udało się „popchnąć do przodu" ich stylistycznego „wózka". Jednocześnie pojawiła się cała gromada nowych zespołów, które nie korzystają z doświadczeń starszych kolegów i ciągle posługują się stylistyką wczesnych lat siedemdziesiątych.

Dość oryginalna jest stosowana tam metoda zmiany stylu gry. Otóż, gdy muzycy uznają, że jakiś pomysł grania się wyczerpał – rozwiązują grupę. Nie szukają, nie usiłują zmieniać, lecz w nowym składzie zaczynają swoją historię muzyczną od początku. Ubiegłoroczna laureatka, znana u nas z koncertów grupa Laura A Jeji Tigry zamierza właśnie z takich powodów zawiesić działalność (ich występ w tym roku był rzeczywiście pozbawiony radości grania i świeżości odgrywania starego repertuaru). Lider tej kapeli chce teraz stworzyć zespół grający akustycznie. Można i tak, ale to chyba nie jest metoda na rozwój czeskiego rocka.

W tym roku triumfowali: Bez Ladu A Skladu (jedyna – w ogólnym melanżu stylistycznym – grupa, która konsekwentnie od lat proponuje coraz ciekawszą muzykę, być może niedługo wystąpią w Warszawie bądź w Gdyni), E. A. P., Ocean (kopia new romantic) i Strasidla (którzy mają ponoć rewelacyjne teksty, z muzyką jest jednak różnie). Nic więc dziwnego, że na takim tle bardzo ciekawie wypadli zaproszeni goście. Mekanik Kommando z Holandii, Dade Krama z Ghany (byli raczej ilustracją muzyki „korzeni"), Njuans i Avia ze Związku Radzieckiego (braciom Czechom dech zapierało od odjazdu, jaki zrobili Rosjanie), Gedeon Jerubbaal (w normie), Detonator BN (który wniósł trochę drapieżności na scenę) i Nocna Zmiana Bluesa. Od tych ostatnich Czesi mogą się uczyć, jak grać i brawurowo wykonywać starego, dobrego bluesa. Chłopcy z Nocnej Zmiany zagrali bardzo dobry koncert, zaś Sławek Wierzcholski jest znakomitym liderem i frontmenem. Publiczność entuzjastycznie doceniła te wszystkie atuty grupy długimi owacjami.

Cóż, tak gigantycznego Rockfestu nie warto już robić, zdają sobie z tego sprawę również organizatorzy. Czy uda się zorganizować plenerowy, z przynajmniej wstępną selekcją grup, przegląd rocka w Czechosłowacji? Może będziemy mieli okazję przekonać się o tym w przyszłym roku.

BARBARA JÓŹWIAK

BAJKA DLA MUZYKÓW

Kiedy pragniesz zacząć grać na jakimś instrumencie, nie musisz szukać odpowiedniej szkoły. Na początek potrzebny będzie nauczyciel. Żeby go znaleźć, wystarczy przestudiować ogłoszenia w lokalnej prasie, zajrzeć do najbliższego supermarketu lub pralni. Na pewno ogłasza się tam jeden z wielu absolwentów uczelni muzycznej. Oczywiście, jeśli chcesz, możesz zapisać się do szkoły. Jej adres znajdziesz także bez trudności w prasie, a możesz być pewny, iż zostaniesz przyjęty. Wystarczy, że uiścisz odpowiednią opłatę. Dopiero kiedy zdecydujesz się na zapisanie do szkoły wstępnej, związanej z jedną z wielu uczelni muzycznych, musisz być przygotowany na egzamin. Tu bowiem zaczyna się rywalizacja.

Nauczycieli muzyki jest jednak więcej niż uczniów. Zdecydowana większość żyje z prywatnych lekcji, choć zapewniają one tylko skromne utrzymanie. Dlatego prawie wszyscy dorabiają – w kościele, na ślubach i zebraniach towarzyskich, albo wręcz starają się zdobyć drugi zawód. Marzeniem każdego pedagoga jest praca w dobrej uczelni. Istnieje specjalna organizacja, która po zainkasowaniu rocznej składki wysyła listę wakatów nauczycielskich posad. Niestety, w sprawie jednego miejsca pracy napływa zwykle od stu do dwustu podań. Zdecydowana większość z nich to zgłoszenia od młodych absolwentów. Ci nie mają żadnych szans. Poważnie traktuje się tylko podania doświadczonych pedagogów. Zresztą o wszystkim i tak decyduje konkurs, podczas którego kandydaci wyłonieni po wstępnej selekcji prowadzą lekcje pokazowe oceniane przez innych profesorów.

Zdobycie statusu pedagoga w renomowanej uczelni uważane jest za nobilitację dla muzyka. Od nauczycieli wymaga się zresztą, by działalność pedagogiczną godzili z własnymi występami. Na większości uczelni każdy z pedagogów musi przedstawić w ciągu roku przynajmniej jeden recital-wykład, będący przecież również sprawdzianem umiejętności wykładowcy.

Jeśli marzysz o tym, by po skończeniu nauki zacząć występować, powinieneś zorganizować sobie serię występów. Oczywiście, pomoże ci w tym menażer, tyle tylko, że trzeba go odpowiednio opłacić, a to już jest poważna inwestycja. Kogo na to nie stać, może spróbować działać na własną rękę. Profesjonalne pisma muzyczne pełne są porad, jak zorganizować własny koncert: *Dostarcz wszystkim lokalnym gazetom, stacjom radiowym i telewizyjnym informację o swoim występie. Podkreśl, że będzie to pierwszy i jedyny koncert w tej okolicy. Zaznacz koniecznie, że zagrasz coś atrakcyjnego i mało znanego. Poproś o zrobienie z tobą wywiadu. Nie zapomnij w ślad za listem ponowić swej prośby telefonicznie. W zainteresowaniu publiczności wielce pomocne będzie pokazanie twojej osoby w różnorodnym świetle. Jeśli twoim hobby jest gotowanie – daj jego pokaz w programie lokalnej stacji telewizyjnej. Jeśli podnosisz ciężary – idź na najbliższy uniwersytet i ćwicz razem ze studentami.*

Po koncercie trzeba już tylko czekać. Może dopisało ci szczęście, gdyż na twój występ przyszedł znany krytyk i napisze pochlebną recenzję. Życzliwa wzmianka w renomowanej gazecie może stanowić punkt zaczepienia, początek początku żmudnej drogi. Jeśli nie, trzeba próbować dalej. Aż do skutku. Albo dać ogłoszenie do prasy, iż poszukuje się uczniów na prywatne lekcje...

*

I to już koniec bajki dla muzyków. Zaczerpnąłem ją z relacji Elżbiety Tarnawskiej, dobrze zapowiadającej się w latach siedemdziesiątych pianistki, która od dłuższego czasu przebywa w USA i zdołała dobrze poznać tamtejszy rynek muzyczny. Jej obserwacje dotyczą, rzecz jasna, pianistów, ale w gruncie rzeczy odnoszą się do wszystkich muzyków i do każdego rodzaju uprawianej przez nich sztuki. Opowieść tę należałoby zadedykować tym wszystkim naszym rodzimym artystom, a jest ich niestety wielu, którzy twierdzą, że ich umiejętności w niczym nie ustępują umiejętnościom artystów zagranicznych i gdyby tylko przestano im rzucać kłody pod nogi, udowodniliby, na co ich stać.

Z pewnością nasza rodzima karuzela kulturalna kręci się nie bez zgrzytów. Wiele można by poprawić w systemie promocji młodych talentów, usprawnić reklamę, uaktywnić krytyków, wspomóc muzyków działaniami przemysłu, który powinien służyć im pomocą – nie zaś hamować w pracy. Może jednak właśnie nadmiar naszych rodzimych kłopotów przesłonił nam starą prawdę, iż autentyczna sztuka rodzi się jedynie przy ostrej konkurencji na różnych szczeblach – między szkołami, między nauczycielami i wreszcie między samymi artystami. I że sukces jest osiągalny tylko dla garstki nielicznych.

Być może nasz kulejący system szkolny, nieudolna promocja, ospale działające środki masowego przekazu i kulejąca fonografia gubią i nie dostrzegają wielu utalentowanych muzyków. Ale jednocześnie można wskazać wiele przykładów, jak zbyt łatwo zostaje się artystą, a prawdziwa rywalizacja, gdzie indziej będąca chlebem powszednim, u nas praktycznie jest nieznana.

JOTEM

ARMIA, AURORA, CYRFF, BRYGADA S,

„Hybrydy", Warszawa 6–7.04.1988 r.

Otrzymawszy od Walijczyków, w rewanżu za kilka numerów MM, specjalny identyfikator, mogłem swobodnie poruszać się w trakcie tego dwudniowego trójmeczu artystycznego Cardiff–Moskwa–Hybrydy, z którego wrażenia opisuję poniżej.

Imprezę tę rozpoczęła kanonadą ze wszystkich dział rzeszowska Aurora ze swą totalną muzyką czasów industriaInych. To co zaprezentowała, to lawina zimnych dźwięków, klinicznego chłodu, mrocznego złowieszczego nastroju, niezwykle jednak wyrazista w formie, pozbawiona zbędnych ozdobników. Zespół dysponuje doskonałym gitarzystą i wraz z klawiszowcem współtworzą oryginalny sound, bazujący na specyficznym klimacie, dystansującym się od stereotypowej estetyki brzmieniowej. Niestety tkwi w tym także niebezpieczeństwo, gdyż po pewnym czasie propozycje zespołu zaczynają nużyć. Najlepiej atmosferę występu oddadzą słowa siedzącego obok mnie Tomasza Budzyńskiego, który co pewien czas wzdychał *...zbyt ciężko.*

Inną kwestią są teksty grupy, będące projekcją naszego świata, protestem przeciw temu, do czego doszedł, trącące jednak martwą frazeologią, poetyką wykrzyczanych manifestów, zamiłowaniem do haseł i politycznego kaznodziejstwa. A może Aurora zasługuje na miano sumienia polskiego rocka?

Dużym zaskoczeniem był dla mnie występ radzieckiego big bandu Brygada S. Ich muzykę określają na Wschodzie mianem pop-boogie, a inspirowana jest dokonaniami Madness, Shakin' Dudiego oraz... Kultu. Zagrana zaś była ze swingowym wigorem pełnym młodzieńczej witalności. Grupa błysnęła dokładnie opracowanym programem, kulturą muzyczną, niewymuszoną elegancją oraz olbrzymim ładunkiem spontaniczności tak rzadko widywanej u naszych wykonawców. Istotnym elementem jej występu jest nieustający ruch na scenie, przemyślana choreografia oraz doskonały show lidera Igora Suchaczewa przypominającego bohaterów dramatów Majakowskiego. Doskonała zabawa.

Następnie na scenie pojawili się Walijczycy ze swą twardą i bezkompromisową twórczością, śpiewaną w języku walijskim. O ich muzyce powiedzieć można, iż nosiła wyraźne piętno fascynacji muzykow dokonaniami The Cure i Joy Division, co znalazło wyraz w wykonaniu własnej wersji tematu *Love Will Tear Us Apart.* Reasumując, sprawne gitarowe granie, niezły wokalista dziękujący publiczności „for claping loudly", mimo dość zimno przyjmowanych kolejnych utworów. Bez fascynacji. Prawdziwie fascynujący zaś był występ niezwyciężonej Armii, konsekwentnie grającej w kwintecie, dowodzonej przez Roberta Brylewskiego. Ten koncert przekonał mnie wreszcie do poczynań Armii, która udowodniła jak szeroko może być pojęta estetyka muzyki punk w chwili obecnej. Ich twórczość jest jak narastająca zamieć zmasowanych dźwięków, których artykulacja jest klarowna, czysta i piekielnie wyrazista, wręcz przerażająca. Zespół przedstawił swój najlepszy program, prezentując obok znanych kompozycji, także nowe utwory. Najciekawszy *Niezwyciężony.* Armia z powodzeniem kroczy wybraną drogą artystyczną, a to, że w jej muzyce odnaleźć można echa Brygady Kryzys, może tylko cieszyć.

Występy wszystkich zespołów rejestrowane były przez brytyjską telewizję i wypada mieć nadzieję, iż koncert w „Hybrydach" zaowocuje prezentacją naszych zespołów za granicą. A tego dobrego nigdy jest eksportu.

KUBA WOJEWÓDZKI

JAJCO I GIGANCI

„Stodoła",
Warszawa, 18.03.88

To już drugie spotkanie towarzyskie zorganizowane przez Jajco i jego Gigantów, więc jest do czego ten koncert porównywać. Niestety, tym razem zabrakło w spektaklu zarówno humoru jak i plejady Gigantów, atutów, które przesądziły o powodzeniu pierwszego przedsięwzięcia sprzed górą roku.

Zaczęło się od blisko półgodzinnej składanki starych, wspaniałych numerów Hendrixa w wykonaniu tria jego zagorzałych fanów, czyli gitarzysty Dariusza Kozakiewicza, perkusisty Piotra Szkudelskiego i samego Jajca. Jak wiadomo, zagrać kawałki Jimiego lepiej od oryginału po prostu nie sposób, można natomiast przy tej okazji popisać się techniką, inteligencją, wyobraźnią. Cóż, chyba tylko to pierwsze wystąpiło tego dnia w „Stodole", bo niestety ze sceny nie posypały się fajerwerki, choć całość była zgrabnie pomyślana. Dariusz Kozakiewicz udowodnił, że potrafi być liryczny i drapieżny, ale muzykę Hendrixa raczej grał niż przeżywał i to było słychać.

Później na scenie pojawił się basista Arek Żak, Jajco grał na klawiszach i posypały się numery z jego nowej, pierwszej solowej płyty. Pech chciał, że grając na klawiszach, Jajco jakoś nie mógł odpowiednio wydobywać z siebie tego niepowtarzalnego głosu (nigdy nie nazwę tego co robi Jajco śpiewem) i zarówno te zabawne historie o Eskimosach, jak i pędzącym pociągu były mało czytelne tudzież śmieszne. Na domiar złego Jajco zrezygnował tego wieczoru z showmańskich gadułek i ogólnie zrobiło się dziwnie smutno. Na bis – jak wiadomo, Jajco nie gra bisów – Artysta przypomniał numer pani Trojanowskiej *Daj Boże, daj.* Niestety, tego dnia Bozia nie dała.

ROMEK ROGOWIECKI

PRASA ROCKOWA

USA I KANADA

„Magazyn Muzyczny" albo „Non Stop" to praktycznie jedyna oferta naszego rynku prasowego dla fanów muzyki rockowej. Oferta, mając na uwadze długi cykl produkcyjny, nader skromna i nie satysfakcjonująca tych, którzy chcą na bieżąco śledzić wydarzenia wewnątrz rockowego tygla. Cóż więc robić w tej sytuacji? Przede wszystkim nauczyć się jednego z wiodących, zachodnich języków i zacząć czytać wiadomości z pierwszej ręki. Ciocia lub kumpel z zagranicy bez problemu mogą zaprenumerować dla Ciebie wskazany tytuł, aczkolwiek nasza poczta w obecnej formie nie jest gwarantem, że pismo to będziesz otrzymywał regularnie, szczególnie jeśli jest w nim dużo kuszących, kolorowych zdjęć. Powiedzmy jednak, że lubisz ryzyko. Pozostaje jeszcze wybór właściwego tytułu. Jako że pism o tematyce rockowej wychodzi na świecie bardzo wiele, postanowiliśmy przedstawić te, z których sami korzystamy lub cenimy. Są też winietki tych najczęściej spotykanych na różnego rodzaju giełdach. Teraz będziecie wiedzieli, czego spodziewać się zamawiając NME, „Kerrang!" czy „Billboard" i uznacie, że... nowy „MM" jest całkiem, całkiem.





ROLLING STONE

Rok 1967 przyniósł muzyce rockowej, oprócz Monterey i Sierżanta Peppera, dwutygodnik „Rolling Stone". Założyli go w San Francisco Jann Wenner i Ralph J. Gleason (zmarł w roku 1975). Początkowo najwięcej uwagi poświęcali lokalnym faworytom Zachodniego Wybrzeża (Gleason był autorem książki *Jefferson Airplane And The San Francisco Sound* obejmującej 400 (!) zespołów), ale wkrótce wraz z rosnącym znaczeniem rocka we współczesnej kulturze, krąg zainteresowań „RS" uległ zmianie.

Nieprzypadkowo wydało go „lato miłości". Wenner i Gleason skupili wokół pisma ludzi o ambicjach literackich, piszących o muzyce i kulturze rocka w nowy sposób, językiem przez nich stworzonym. Z czasem udało im się wypracować oryginalny profil pisma muzycznego, zajmującego się również innymi przejawami współczesnej kultury, polityką, sztuką, modą czy elektroniką domowego użytku. Stąd na okładce „RS" znaleźć



można równie często Roberta Planta, jak i Jacka Nicholsona.

Pismo słynie z obszernych i odkrywczych wywiadów (m.in. Dylan, Lennon, Springsteen), z których część wydano w formie książkowej. Własne wydawnictwo „Rolling Stone Press" publikuje też zbiory recenzji płytowych zamieszczonych w tym dwutygodniku, przewodniki po płytach itp. Z pismem współpracują stale m.in. Jonathan Cott, Dave Marsh, Greil Marcus, Robert Palmer i Jerry Hopkins.

Wśród zestawień przebojów publikowanych w „RS" zwracają uwagę „numery do tańca" (bardzo dalekie od disco) i „albumy słuchane w college'ach". W ubiegłym roku, z okazji swego 20-lecia, „RS" przygotował kilka numerów specjalnych, poświęconych przebojowemu spojrzeniu na kulturę rockową lat 1967–1987. Uniwersalność formuły – obecnie wyraźnie widać, iż „RS" adresowany jest do Yuppies – sprawia, że dla wielu odbiorców staje się jedynym czytanym periodykiem, o czym świadczy również nakład pisma: od 200 000 już w 1973 roku, do 400 tys. w 10 lat później i prawie miliona (!) obecnie. „RS" kosztuje 1.95 dolara. (pm)



BILLBOARD

Uważany powszechnie za „biblię branży" „Billboard" skończy wkrótce 100 lat. Co tydzień wydawca Anam White i jego ludzie w strategicznie rozsianych oddziałach w Nowym Jorku, Nashville, Waszyngtonie, Los Angeles, Londynie i Tokio, zasilają kioski imponującą formatem i szatą graficzną płachtą, omawiającą szczegółowo w osobnych działach wszystko, co mieści w sobie przemysł muzyczny.

Właśnie przemysł, bo „Billboard" to pismo głównie dla amerykańskich businessmanów tej branży. Stąd też np. recenzje płytowe omawiają przede wszystkim ewentualne wartości handlowe nagrań, a nie ich stronę artystyczną. „Billboard" słynie z obszernych i podzielonych na wyspecjalizowane kategorie list przebojów, czyli zestawu najlepiej w danym tygodniu sprzedawanych w Stanach płyt, kaset, kompaktów itd. Najważniejsze z nich to „Hot 100" (single-rock). „Hot 200" (LP's – rock) oraz osobne zestawienia jazzu, country, black music, muzyki klasycznej i latynoskiej. Najciekawsze jest zestawienie utworów wybranych z rockowych LP, granych najczęściej przez radiostacje w USA.

Pismo przygotowuje często numery monograficzne, poświęcone aktualnym zjawiskom w przemyśle muzycznym (wideoclipy, płyty kompaktowe), a nawet poszczególnym wykonawcom (Willy Nel-











CO CZYTAĆ?

son, stajnia Prince'a w Minneapolis). „Billboard" organizuje też i sponsoruje seminaria i zjazdy fachowców od show-businessu. Pismo utrzymuje w pogotowiu stałych korespondentów zagranicznych w 30 krajach, m.in. na Węgrzech, w Czechosłowacji, Rumunii, ZSRR i Polsce (red. Roman Waschko). Nakład tygodnika wynosi około 50 tys., cena 3.95 dolara. (pm)

CREEM

Amerykański miesięcznik „Creem" wychodzi od 19 lat. Mimo zmiennych mód i wielu konkurencyjnych tytułów, przetrwał na tym bodaj najbardziej kapryśnym rynku czytelniczym. Recepta na ów niewątpliwy sukces była prosta: trzymać rękę na pulsie, rzetelnie odnotowywać wszystko co dzieje się na muzycznej scenie, unikać zazwyczaj ślepo kończących się uliczek wąskich specjalizacji i sezonowych kultów, dobry poziom dziennikarski. Wydaje się, iż dewizą zespołu redakcyjnego pozostaje przekonanie, iż każdy wykonawca – nawet najbardziej komercyjny, pogardliwie omijany przez innych krytyków co–to–wiedzą–najlepiej–co–jest–dobre – może coś ciekawego powiedzieć. Dlatego też „Creem" rozmawia ze wszystkimi, zaspokajając ciekawość zarówno zwykłych odbiorców najszerzej pojętej muzyki rockowej, jak i słuchaczy o bardziej sprecyzowanych zainteresowaniach – ograniczając wszakże do niezbędniejszego minimum materiały poświęcone zjawiskom skrajnym: dyskotece i awangardzie. Jednym słowem – złoty środek.

Układ pisma od lat nie ulega zmianom. Kolumny kolorowe przynoszą wywiady z rozmaitymi wykonawcami (trzy spośród czterech ostatnich poświęcone są przedstawianiu nowicjuszy, czwarta zaś – zatytułowana „Backstage" – jest czymś w rodzaju, hm hm, „fotobalangi"), na rozkładówce natomiast znajduje się kalendarz danego miesiąca, przypominający również wydarzenia z przeszłości. Na kolumnach „gazetowych" są recenzje (dobre) i rozmaite stałe rubryki, jak żywo i dowcipnie redagowany felieton „Eleganza", poświęcone związkom wykonawców z innymi mediami „Creemedia", a także nowinki techniczne pod wspólnym tytułem „New Gear". Pismo godne polecenia: 74 kolumny (licząc z okładkami) za jedyne 2 dolary i 95 centów. (jr)

MIX

Amerykański miesięcznik przeznaczony dla specjalistów branży technicznej tj. realizatorów nagrań, elektroakustyków, producentów – czyli dla wszystkich tych, dla których magia brzmień nie ma tajemnic. Przedstawia on wszelkie nowości techniki, służące wyposażeniu studia nagraniowego i realizacji: cyfrowe konsolety, miksery, samplery, equalizery, harmonizery, magnetofony, mikrofony, kompresory oraz wiele innego sprzętu. „MIX" zamieszcza na swych łamach także wywiady ze znanymi i uznanymi mistrzami konsolety. Pismem o podobnym profilu jest także amerykański miesięcznik „Elektronic Musician". Cena pierwszego 4 dolary (210 stron), drugiego 2,5 dol. (130 stron). (kw)

GUITAR PLAYER

Miesięcznik, ukazujący się w Stanach Zjednoczonych, przeznaczony głównie, jak sugeruje nazwa, dla gitarzystów. Porady znanych gitarzystów, nuty i partytury, omówienie nowości na rynku gitarowym i przegląd akcesoriów używanych przez różnych „wioślarzy" stanowi gros materiałów w każdym numerze. Lektura tego magazynu wydaje się być koniecznością dla każdego praktykującego gitarzysty na całym świecie. Wszystkie artykuły pisane są fachowo, ale też z typowo amerykańskim luzem i poczuciem humoru. W skład specjalnej rady konsultacyjnej tego magazynu wchodzą m.in. Chet Atkins, Eric Clapton, Billy Gibbons, B. B. King i John McLaughlin, czyli prawdziwi czarodzieje tego instrumentu. Natomiast fachowych porad udzielają na temat improwizacji, teorii muzyki, techniki gry na instrumencie nie mniej wielkie nazwiska. Recenzje płyt są tu krótkie i treściwe. Słowem, prawdziwa kopalnia wiadomości, które można studiować w domu. 172 strony za 2,95 dolara. (rr)

GUITAR WORLD

Amerykański miesięcznik o zdecydowanie bardziej rockowym profilu niż „Guitar Player". Magazyn ten nie stroni też od wywiadów z młodymi gwiazdami i udziela podobnie fachowych porad co „GP". 128 stron za 2,95 dolara. (rr)

MUSICIAN

Miesięcznik wydawany w USA, specjalizujący się w znakomitych esejach na temat współczesnych muzyków rockowych i jazzowych. „Musician" przedstawia nowe talenty i rozlicza w retrospekcjach dokonania największych tuzów rocka i jazzu. W recenzjach płyt też udany mariaż jazzu i rocka, ponadto sporo fachowych porad doświadczonych muzyków i ocena nowinek technicznych. Świetny poziom merytoryczny uzupełnia atrakcyjna szata graficzna. 132 strony za 2,50 dolara. (rr)

DOWN BEAT

Ukazujący się już od 53 lat w USA „Down Beat" uważany jest za wiodące, najbardziej autorytatywne pismo o muzyce jazzowej na świecie. Na jego łamach pisali chyba wszyscy znani krytycy – od Leonarda Feathera, autora wydawanych co dekadę encyklopedii jazzowych, po Joachima Berendta z RFN, któremu wielu polskich muzyków ma sporo do zawdzięczenia, jeśli chodzi o międzynarodowe kontakty. „Down Beat" stosunkowo wcześnie zauważył fenomen popularności rocka. Już pod koniec lat pięćdziesiątych podjął interesującą próbę analizy tego gatunku w cyklu historycznych szkiców; w latach sześćdziesiątych poświęcał mu stosunkowo dużo miejsca, drukując wywiady z takimi wykonawcami jak choćby Jefferson Airplane, The Doors, The Who, Frank Zappa czy Carlos Santana oraz recenzje płyt.

Protest jazzowych purystów przerwał jednak ukazywanie się tego rodzaju publikacji. Być może, między innymi i ten fakt wpłynął na poważne zmniejszenie się nakładu „Down Beatu", który wobec problemów finansowych z dwutygodnika stał się pod koniec lat siedemdziesiątych miesięcznikiem. Powrócono więc do rocka – zarówno szeroko omawiani są obecnie twórcy awangardowi, jak i wykonawcy bardziej komercyjni. Warto dodać, że są traktowani jednakowo poważnie. 68 stron za 1,5 dolara. (jr)

SPIN

Amerykański miesięcznik „Spin" nie jest magazynem rockowym sensu stricto, poświęca jednak temu gatunkowi muzyki na tyle dużo kolumn, iż osiągnął wcale liczącą się pozycję w branży. Pod wieloma względami przypomina „Rolling Stone'a" – sporo miejsca zajmują tu zagadnienia kulturalne z innych dziedzin, istotne problemy współczesne (np. kwestia AIDS), trochę mniej – reportaż lub komentarz polityczny będące raczej specjalnością „RS". Całkiem przyzwoity poziom dziennikarski, efektowna i godna pozazdroszczenia poligrafia, atrakcyjna szata graficzna sprawiły, iż ukazujący się od trzech lat „Spin" stał się natychmiast bodaj najpoważniejszym rywalem „Rolling Stone'a" – złośliwi twierdzą, iż wyrwał on z letargu zadowolonych z siebie, rozleniwionych dziennikarzy tego zasłużonego dwutygodnika i wpłynął na jego zauważalną poprawę. Objętość 76 stron, cena 2.50 dol. (jr)

OPTION

W podtytule znajdziemy hasło: „Music Alternatives". Tak, to jedno z najciekawszych amerykańskich pism poświęconych nowej muzyce. Ten dwumiesięcznik wystartował w marcu 1985 r. w Los Angeles i jak dotąd dzielnie sobie poczyna. Dzięki swej objętości (dobrze ponad 100 stron) i dużej ciekawości świata, publikuje materiały z różnych stron kuli ziemskiej (Anglia, RFN, Czechosłowacja, N. Zelandia, Australia), no i przede wszystkim USA. Jego siłą są głównie bardzo dobre i ciekawe wywiady oraz zajmujący ok. 1/4 objętości pisma dział recenzji płyt, przede wszystkim longplayów, wykonawców alternatywnych wobec wielkiego show-businessu. W ub. roku znalazła się tam m.in. recenzja płyty J. Skubikowskiego.

„Option" jest bardzo starannie redagowany i trafnie dostrzega to co najciekawsze, zwłaszcza w USA i na Wyspach Brytyjskich. Recenzuje kasety demo wykonawców, którzy nie mają jeszcze podpisanego żadnego kontraktu, publikuje sporo użytecznych adresów (stacji radiowych, fanzinów i periodyków, wytwórni płytowych itp.), stając się powoli znaczącym organem (hm, niech będzie) amerykańskiej alternatywy muzycznej (hm). W kiosku kosztuje jedyne 2,5 dolara (zielonego). (ts)

ROCK EXPRESS

Kanadyjski miesięcznik wychodzący od 11 lat. Jego obecny szef Keith Sharp odwiedził Polskę w 1986 r. z okazji trasy koncertowej Iron Maiden. Nie znaczy to jednak, że „Rock Express" to magazyn o orientacji heavymetalowej. Wręcz przeciwnie, pismo to zajmuje się wszystkimi gatunkami rocka, kładąc duży nacisk na rock kanadyjski. W każdym numerze znajdują się przede wszystkim raporty z największych miast USA i Kanady, oprócz tego recenzje płyt, koncertów, książek i kaset wideo. Bardzo mało miejsca poświęca się w tym piśmie na wieści z Europy. Plusem „Rock Expressu" są pochłaniające czasami 1/3 numeru wyczerpujące wywiady z różnymi, uznanymi gwiazdami. Z racji długiego cyklu produkcyjnego „Rock Express" nie drukuje regularnych list przebojów, ograniczając się jedynie do „Top 20 Music Video". Są natomiast podawane miesięczne trasy koncertowe występujących akurat w Ameryce artystów. Blisko 1/3 pisma to reklamy, w 90 proc. muzyczne.

Papier gazetowy, tylko okładki kredowe. „Rock Express" ma 76 stron i kosztuje 1.95 dolara kanadyjskiego. (rr)

REGGAE QUARTERLY

Jeden z poważniejszych amerykańskich magazynów, wydawany w Kanadzie i poświęcony muzyce reggae. Artykuły w nim zamieszczane są podsumowaniem najważniejszych wydarzeń i zjawisk kulturowych zachodzących w muzyce reggae; nie są to plotkarskie i pełne nowinek i nowości reklamówki z „ego trips" nadętych i kreowanych na gwiazdy, nie mających nic do powiedzenia, lecz bardzo konkretne i pomagające rozmowy z naprawdę wybitnymi artystami, takimi jak Burning Spear, Joseph Hill czy Leroy Sibbles. Reklamy, których jest niewiele (co w amerykańskich gazetach jest rzadkością), dotyczą tylko spraw związanych z muzyką roots-reggae: a więc przedstawiana jest lista najnowszych płyt dostępnych na rynku, firm płytowych oraz specjalnego programu radiowego, który w każdą z czwartkowych nocy nadawany jest pod tytułem „Reggae Quarterly przedstawia". (sg)

THE REGGAE AND AFRICAN BEAT

Najpopularniejsza amerykańska gazeta poświęcona reggae, ukazująca się w Los Angeles co dwa miesiące (wydawana przez Bongo Productions, PO Box 29820, Los Angeles, CA 90029). Pierwsza z gazet, która umieściła na swych łamach informacje o reggae w Polsce (autorami byli: Andrzej Jakubowicz i Steve Radzi). Zamieszcza artykuły publicystów uznanych już za autorytety – eseje krytyczne, omówienia sytuacji kulturowej, wspomnienia tego, co działo się na Jamajce i co działo się gdzie indziej – a wśród stałych współpracowników są: Roger Steffens, Timothy White, Stephen Davis i Adrian Boot. Dużo reklam nowo powstających firm, albumów i filmów wideo. Również informacje o koncertach (zaproszenie na Sunsplash Festival do Montego Bay kosztowało w 1987 roku 269 dolarów), na wszystko specjalnie niższe ceny, specjalna oferta specjalnie w tym celu powołanych agencji. Magazyn ukazuje, czym jest reggae na rynku show-music-businessu. (sg)

REGGAE REPORT

Ukazujący się na Miami, najpierw w formie fanzinu, który szybko przekształcił się w regularnie wydawany miesięcznik. Kalejdoskop aktualności w amerykańskim stylu: reklamy płyt i fałejek z muzyką reggae-disco, wywiady z artystami znanymi i takimi, o których się zapomina natychmiast po przeczytaniu ich wypowiedzi, prezentacje disc-jockeyów radiowych, recenzje z koncertów i programów radiowych i wiele innych aktualności. Wydawany jest przez Standard Yard Music, a własny program radiowy reklamuje jako „Remote Reggae".(sg)

cdn

SPRZEDAWANIE

Ponoć podstawową różnicą, oprócz języka, między Anglikami a Amerykanami jest podejrzliwość z jaką ci pierwsi patrzą na ludzi sukcesu. Nawet pobieżne studiowanie brytyjskiej prasy muzycznej w pełni potwierdza tę tezę, a panujące w jej obrębie prawa przypominają reguły Hyde Parku – każdy dziennikarz może skopać nawet największą gwiazdę i z reguły z lubością to robi, a jedynym bluźnierstwem w tej braci jest tylko wątpienie lub kwestionowanie geniuszu Prince'a, który ma zawsze świetną prasę.

Wspólną cechą czołowych brytyjskich tygodników rockowych jest maniakalne wspieranie działalności nieznanych grup, zarówno tych nowych starających się dopiero wydać pierwszy singel, jak i tych pechowych, starszych, błąkających się bez powodzenia od wytwórni do klubu i z powrotem. Dla rynkowej równowagi ten sam skryba z rozkoszą wdeptuje w ziemię tych wykonawców, którzy schlebiając gustom publiczności, tworzą ultrakomercyjną muzykę nastawioną na natychmiastowy sukces na listach przebojów. Rzecz jasna, trzeźwo myśląca osoba nie będzie miała złudzeń, jak znikomą rolę w tworzeniu takiej muzyki odgrywają panienki pokroju Sammy Fox, Mandy Smith czy Sinitty, które są tylko milutkimi kukiełkami w rękach producentów. Gromy krytyki spadają więc nie na te słodkie istoty, lecz na głowy ojców ich sukcesów, głowy panów Stocka, Aitkena i Watermana. Oni to bowiem napisali i wyprodukowali w ub.r. 20 wielkich szlagierów począwszy od pamiętnego Ferry Aid, przez numery dla Mel And Kim, Sinitty, po Ricka Astleya, stając się uosobieniem komercyjnego sukcesu i symbolem znienawidzonego establishmentu. Nie sam sukces spowodował jednak tak ogólną i płomienną niechęć prasy do tej trójcy, bo rok wcześniej nikt nie krytykował równie wszechstronnej, co modnej pary producentów z USA w osobach Jimmy Jama i Terry Lewisa, a takich producentów jak Mikie Most czy legendarny duet Chinn/Chapman wspomina się nawet z rozrzewnieniem. Rzecz w tym, że Mike Stock, Matt Aitken i Pete Waterman prezentują specyficzną filozofię i styl pracy, który dla wielu ludzi z branży jest formą cynicznego wyzwania nie do przyjęcia. O co więc w tym wszystkim chodzi?



RICK ASTLEY

Trzeba otwarcie powiedzieć, że to co robią Stock, Aitken i Waterman jest antytezą wszystkiego co szczere, spontaniczne, twórcze i oryginalne, a mimo to uważają oni swą pracę za sztukę i to taką, która wytrzyma próbę czasu! Cóż, obiektywnie patrząc, efekty ich pracy nie są tak opłakane jak utrzymuje brytyjska prasa, która niedawno sama siebie wystrychnęła na dudka, w czym wydatnie pomogli jej nasi trzej muszkieterowie. Mało tego, obserwując rosnącą kolejkę klientów chcących skorzystać z usług tych panów – szok wywołała wiadomość, że ostatnio nawet heavymetalowy pionier Judas Priest prosi o pomoc –

SAMANTHA FOX

HITU

trudno doprawdy zanegować ich magiczną pozycję na mapie brytyjskiego show-businessu. Stock, Aitken i Waterman czyli SAW słyną jednak głównie z lansowania panienek takich jak ex-gwiazdka porno Samantha Fox, nieletnia kochanica basisty The Rolling Stones, Mandy Smith, czy ich ostatnie odkrycie, aktoreczka z Antypodów nazwiskiem Kylie Minogue. Wszystkie te damy są dowodem na daleko idący egalitaryzm w doborze współpracowników, jaki cechuje zawodowe posunięcia SAW. Oto jak szczerze i ujmująco Mike Stock wyjaśnia, dlaczego tak lubią pracować z kobietami: *Kobiety wydają się być w życiu większymi realistkami. Nie posiadają tej ideologii opartej na rocku jaka cechuje mężczyzn. Mężczyźni, szczególnie ci, których oślepiło granie na gitarze, nigdy nie potrafią wyrzec się tej ideologii. Oni zawsze wydają się tkwić w robieniu czegoś artystycznego. Oni zawsze marzą, by pierwsza płyta była na miarę albumu „Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band", podczas gdy powinno się zaczynać od też beatlesowskiego „Please, Please Me".*

SAW szczycą się tym, że mogą pracować z każdym, choć przyznają, że byli bliscy złamania tej zasady w przypadku Samanthy Fox. Głos ma Pete Waterman: *Gdy po raz pierwszy usłyszeliśmy o jej planach piosenkarskich, przyrzekliśmy sobie nigdy z nią nie pracować. Nie chcieliśmy mieć z tym nic wspólnego, obawiając się, że to może zaszkodzić naszej karierze. Kiedy jednak spotkaliśmy się wreszcie po raz pierwszy, nie mogliśmy uwierzyć w to, jaka była miła. Zagraliśmy przeznaczoną dla niej piosenkę, a ona nagrała ją w trzy godziny. Od tego czasu jeszcze ze sobą nie rozmawialiśmy.* Wspomniana piosenka to znany eurohit *Nothing Gonna Stop Me Now*. Zanim jednak nastały hity tego pokroju Stock, Aitken i Waterman kilka lat uczciwie pracowali na dzisiejszą reputację.

Najszybciej na szersze wody wypłynął najstarszy, obecnie 40-letni Pete Waterman. Przypisuje mu się nawet odkrycie modnej w okresie boomu ska grupy The Specials, choć tak naprawdę, Pete wyrobił sobie dobrą markę, realizując nagrania zapomnianego już dziś Nika Kershawa i grupy Musical Youth. W 1982 odwiedzili znanego już producenta panowie Aitken i Stock, przynosząc mu własne nagrania demo. Mieli wtedy masę pomysłów i koniecznie chcieli wydać płytę własnej, rewelacyjnej kapeli. Ich materiał ukazał się pod dosyć enigmatyczną nazwą *Agents Arent Aeroplanes* i grano go w różnych klubach, a także propagował go w swych audycjach słynny, otwarty na nowofalowe nowinki prezenter John Peel. Jednak w międzyczasie Waterman odradził młodszym kolegom zakładanie prawdziwego zespołu i w zamian zaproponował im intratną współpracę przy produkowaniu nagrań innych wykonawców.

Skoncentrowali się głównie na muzyce tanecznej, pracując m.in. z popularną wokalistką Hazel Dean, śpiewającą utwory w konwencji eurodisco czy też hienergy. Już wtedy dali się także poznać z dobrej strony, pomagając Alison Moyet w nagraniu kompozycji *Invisible*. Początkowo znani jedynie jako team producentów, z czasem zaczęli również pisać teksty i komponować piosenki. Znaczącym i przełomowym sukcesem w karierze SAW było dotarcie w 1985 roku zrobionego przez nich singla *You Spin Me Round* grupy Dead Or Alive do szczytu brytyjskich list przebojów. Zespół ten, mający wielu fanów wśród homoseksualistów, nadal korzysta z pomocy SAW, ale jak podkreśla lider Dead Or Alive – wokalista Pete Burns, jego zespół opiera swą działalność na koncertach i tym zdecydowanie różni się od reszty wykonawców związanych z SAW. O samej współpracy mówi tak: *Nigdy nie byliśmy częścią tej machiny. Brzmimy wprawdzie podobnie jak inni współpracujący z nimi wykonawcy, ale nie chcemy być kojarzeni z Sinittą. Dead Or Alive to grupa rockowa.*

Chronologicznie najważniejsza była więc kapela Dead Or Alive, ale gdyby uszeregować klientów SAW na podstawie ich miejsca w muzyce pop, to szczególna pozycja należy się trzem panienkom znanym od 1981 r. jako trio Bananarama. Data jest tu o tyle ważna, że w odróżnieniu od innych wykonawców pilotowanych przez SAW, Bananarama zyskała popularność bez ich pomocy znacznie wcześniej. Początkiem jakże owocnej współpracy stało się opracowanie nowej wersji starego hitu grupy Shocking Blue *Venus* – niespodziewany powrót Bananaramy na czoło list przebojów roku 1986. Późniejsze szlagiery tej grupy – *Love Of The First Degree* i *I Heard A Rumour* z albumu *Vow* to już dzieło naszej spółki. Oprócz brzmienia SAW zmienili też nieco niechlujny i zaniedbany image trzech czupiradełek na seksowne, atrakcyjne wampy. Waterman: *Bananarama to moja ulubiona grupa. Zmieniliśmy jej oblicze, bo dotychczas wygląd dziewczyn nie pozwalał, by traktowano je poważnie. Teraz są tak seksowne, że aż trudno w to uwierzyć.*



STOCK, AITKEN I WATERMAN

Dotychczas sprzedano ponad 30 milionów płyt, w nagranie których zamieszani byli panowie Stock, Aitken i Waterman. W 1987 roku dorobili się oni 20 hitów na brytyjskich listach przebojów. Tylko producent The Beatles, George Martin miał tak szczęśliwą rękę jak oni do osiągania szczytów list bestsellerów z różnymi wykonawcami. Ostatnio przedstawiciele wszystkich wytwórni płyt i menażerowie wielu poważnych artystów próbują nakłonić Stocka, Aitkena i Watermana do pracy ze swoimi podopiecznymi. A oni bezczelnie twierdzą, że z każdego mogą zrobić gwiazdę i wybierają klientów według własnego klucza.

Historia innych protegowanych SAW, sióstr Appleby, znanych jako duet Mel And Kim, wiąże się w istotny sposób z triem Bananarama. Otóż pierwszy hit Mel And Kim, utwór *Showing Out*, był pierwotnie przeznaczony dla tria, ale ostatecznie dostały go siostrzyczki i tak zaczęła się ich wielka kariera artystyczna, spotęgowana następnym superhitem *Respectable*. Pete Waterman nie pozostawił jednak cienia wątpliwości co do autorów tego sukcesu i zapytany o wpływ artystek na zawartość debiutanckiego albumu *FLM* stwierdził jasno: *Mel i Kim nie miały tu nic do powiedzenia.*

Pomimo że SAW z wiadomych względów preferuje pracę z kobietami, to jednak największy artystyczny i kasowy sukces przyniosło im wylansowanie w roku ubiegłym Ricka Astleya. Zawrotna i błyskawiczna kariera byłego kierowcy ciężarówki przywróciła do łaski mit, że każdy jest potencjalną gwiazdą muzyki pop. Astleya odkrył Pete Waterman przed dwoma laty, gdy Rick śpiewał w podrzędnej kapeli imitującej brzmienie Aztec Camera. Godząc się na opiekę SAW, Rick Astley zgodził się na prawdziwe pranie mózgu. Waterman tak wspomina ten okres: *Rick jest z nami od dwóch lat. Przez ten cały czas wpajałem mu filozofię firmy Motown. Praktycznie mieliśmy go pod ręką dzień i noc. Tak jak Marvin Gaye na początku swej kariery w Motown, tak Rick siedział z nami i czekał aż coś się zdarzy.*

I rzeczywiście zdarzyła się historia, która przeszła najśmielsze oczekiwania. Wydany latem ubiegłego roku debiutancki singel Astleya *Never Gonna Give You Up*, zawierający melodyjny, biały soul, stał się najlepiej sprzedawaną małą płytą 1987 r. w Anglii. Korzystając z koniunktury na Ricka, jego sponsorzy umiejętnie podsuwali publiczności kolejne single nowego idola, wybierając na nie chwytliwą melodię *Whenever You Need Somebody* oraz, w okolicach Świąt, gwiazdkowy standard Nat King Cole'a *When I Fall In Love*. To ostatnie świętokradztwo dowiodło, że Rick potrafi śpiewać z feelingiem, zaś orkiestrę z oryginału z powodzeniem zastępują elektroniczne maszyny ze studia PWL należącego do Stocka, Aitkena i Watermana. Niektórzy w wyposażeniu tego supernowoczesnego studia, w którym zatrudnionych jest 40 osób, upatrują źródeł sukcesów SAW i jest w tym sporo racji, bo oni sami twierdzą, że właśnie studio jest podstawą ich pracy i dzięki jego możliwościom z każdego mogą zrobić gwiazdę. Tak komentuje to Stock: *Myślę, że ludzie nareszcie zaczynają zdawać sobie sprawę z tego, że praktycznie każdy może być dobrze nagrany. Nie lubiłem nigdy punkowego brzmienia, ale uważam, że to co robimy jest w pewnym sensie punkowym ideałem. Nie jest już tajemnicą, że każdy może nagrać płytę i stać się gwiazdą.*

Wspomniałem na początku, że niedawno Stock, Aitken i Waterman w podstępny sposób ośmieszyli krytykującą ich poczynania prasę i czas przedstawić kolejny majstersztyk sygnowany przez SAW. Głos ma Waterman: *Wszystko zaczęło się do recenzji albumu Mel And Kim „FLM". Czytając je, zorientowaliśmy się, że pod ich wpływem ludzie mogą przestać kupować nasze płyty. Dostrzegliśmy zmowę prasy przeciwko nam i doszliśmy do wniosku, iż nadszedł czas prawdziwego działania. Pewnej nocy, po sesji z Bananaramą, włączyliśmy całą maszynerię, wezwaliśmy wszystkich do studia i zrobiliśmy prostymi środkami numer „Roadblock".* Gdy nagranie było gotowe, Waterman wymyślił iście szatański plan wykpienia przeciwników SAW, choć chyba wtedy jeszcze nie przypuszczał, że zemsta będzie tak słodka, a kompromitacja oponentów totalna. Utwór *Roadblock* pojawił się w połowie ubiegłego roku w mikroskopijnym nakładzie wydany przez małą, amerykańską, niezależną wytwórnię z adnotacją, że jest to nagranie anonimowego wykonawcy z lat siedemdziesiątych. Singel ten wysłano recenzentom i prezenterom sugerując, iż jest to „klasyk muzyki funky" i efekt był piorunujący – dziennikarze „NME" i fachowego pisma „Echoes" okrzyknęli to nagranie najlepszym singlem roku 1987. Mało tego, pojawili się spece od muzyki funky utrzymujący, że jest to nieznany kawałek samego Jamesa Browna, a zupełną paranoją były twierdzenia niektórych disc-jockeyów, że posiadają w swej kolekcji – w rzeczywistości nie istniejący – oryginał tego nagrania. Można sobie wyobrazić jakim szokiem było dla prasy ujawnienie autorów *Roadblock* poparte wydaniem tego singla w dużym nakładzie przez firmę A & M. Wniosek z tego, że efekty pracy fabryki gwiazd potrafią powalić na kolana najbardziej wybrednych dziennikarzy i SAW należy traktować z szacunkiem, choć za produkcję takiego singla jak *Toy Boy* Sinitty należy im się publiczna chłosta. Zaś sam konflikt pomiędzy prasą w triem sprytnych i zdolnych producentów sprowadza się właściwie do starego sporu – rękodzieło czy manufaktura. Pamiętać jednak trzeba, że SAW świadomie tworzy muzykę dla ludzi, którzy są przeciętnymi zjadaczami chleba, lubiącymi gwizdać sobie chwytliwe melodyjki przy różnych okazjach. Dla purystów szukających w muzyce elementów sztuki pocieszeniem powinien być fakt, że SAW zamierzają rozwinąć ofensywę i podjąć współpracę z bardziej markowymi i wymagającymi artystami. Może kiedyś na podobny krok zdecyduje się Sławomir Wesołowski?

WITOLD ROGOWIECKI

Jest taki film, w którym bohater opuszcza rodzinną wioskę i po jakimś czasie jej mieszkańcy uznają go za zmarłego. Przygotowują się więc do uroczystości pogrzebowych, chociaż nie mają ciała ani żadnych dowodów śmierci bohatera. W tym czasie on spokojnie ukrywa się w kościele, czekając aż nadejdzie chwila jego „zmartwychwstania"...

W ten sposób Andrew Eldritch komentuje reaktywację grupy The Sisters Of Mercy, jednej z najciekawszych formacji rockowych lat osiemdziesiątych. Po prawie ośmiu latach działalności Siostry Miłosierdzia mają wreszcie pełną szansę na dawno zasłużony sukces. Zespół wprawdzie zawsze cieszył się powodzeniem na listach przebojów wytwórni niezależnych, jednak w szerszych kręgach odbiorców był stosunkowo mało doceniany. Tymczasem mówiąc o najoryginalniejszych talentach lat osiemdziesiątych, nie sposób pominąć Sisters Of Mercy. Andrew Eldritch ma również zarezerwowane miejsce obok Jima Morrisona, Iana Curtisa czy Roberta Smitha w galerii najciekawszych postaci rockowej sceny.

Zespół został powołany do życia w 1980 roku w Leeds. Początkowo tworzyło go dwóch przyjaciół – gitarzysta Gary Marx oraz wokalista i animator całego projektu: Andrew Eldritch. Jak głosi legenda, najpierw wymyślili nazwę Sisters Of Mercy, potem wypożyczyli odpowiednie kostiumy, w końcu prywatnymi środkami dokonali nagrania małej płyty. Kilka miesięcy później dołączył do nich gitarzysta basowy Craig Adams. W trójkę przystąpili do koncertowania w lokalnych klubach, stopniowo zdobywając coraz więcej zwolenników. Grupą zainteresowała się prasa muzyczna, a także firmy płytowe, jednak Eldritch – ku ogólnemu zdumieniu – nie kwapił się do spisywania kontraktu z żadnym większym koncernem, jakby czekając na dobrą okazję. Tymczasem ukazywały się single i maksisingle firmowane przez Sisters Of Mercy, zawsze trafiając na niezależne listy bestsellerów. Grupa publikowała je własnym kosztem. Po wydaniu w czerwcu 1983 roku jednej z ważniejszych płyt – „czwórki" *The Reptile House* – zespół dokooptował jeszcze jednego muzyka: gitarzystę Wayne'a Husseya (ex-Dead Or Alive). Jako kwartet wspomagany przez automatycznego perkusistę zwanego Doktorem Avalanche, Sisters Of Mercy podpisał latem 1984 roku kontrakt z koncernem WEA, ale na własnych warunkach. Należało do nich m.in. utworzenie prywatnej wytwórni Merciful Release, jedynie sponsorowanej przez WEA. Andrew Eldritch: *Dla wielu niezależny to znaczy amatorski. Tymczasem zrobiliśmy co w naszej mocy, by osiągnąć profesjonalizm i jednocześnie zachować kontrolę. W ten sposób staliśmy się całkowicie niezależnym zespołem, który teraz jedynie wszedł w układ z dużym koncernem.*

Wiosną 1985 roku ukazał się długo oczekiwany, pierwszy album Sisters Of Mercy, *First And Last And Always*. Zawierał dziesięć znakomitych, choć stylistycznie niejednorodnych kompozycji utrzymanych w „gotyckim" nastroju. Zdaniem krytyków płyta nie dorównywała wydanym wcześniej maksisinglom, do dzisiaj zresztą powracającym na niezależne listy *(Temple Of Love)*. *First And Last And Always* rzeczywiście nie w pełni przekonywał, a przyczyną tego stanu rzeczy był narastający konflikt między Eldritchem a resztą zespołu – w szczególności z Husseyem. Różnice poglądów na temat dalszej działalności, różnice osobowościowe i nieporozumienia na tle personalnym doprowadziły w konsekwencji do rozpadu formacji. Hussey i Adams, zaangażowawszy jeszcze dwóch instrumentalistów, utworzyli własną grupę The Mission i błyskawicznie odnieśli komercyjny sukces kilkoma singlami i albumem *God's Own Medicine* (jesień 1986). Tymczasem Eldritch, z niewielką pomocą kilku przyjaciół i niezmordowanej maszyny – Doktora Avalanche, zrealizował własny album *Gift* pod szyldem The Sisterhood.

Porównanie obu tych pozycji daje jasny obraz sytuacji, która doprowadziła do rozwiązania oryginalnych Sisters Of Mercy. The Mission okazał się zespołem stricte rockowym, natomiast płytę The Sisterhood bardzo trudno sklasyfikować. Podczas gdy Wayne Hussey pragnął poświęcić się rock and rollowi w pełnym tego słowa znaczeniu (dynamiczna muzyka, trasy koncertowe, hotelowe libacje itd.), Andrew Eldritch lepiej czuł się w roli wizjonera. W swoich utworach dbał przede wszystkim o tworzenie nastrojów, kładąc niekiedy nacisk na śpiewany lub recytowany tekst. Większość z pięciu kompozycji wypełniających *Gift* powstało według tybetańskich recept: jednostajny rytm, monotonia doprowadzona od granic tolerancji, wiecznie powracające quasi-orientalne motywy... Gdyby Fellini lub Russell zrealizowali kiedykolwiek film według opowieści z tysiąca i jednej nocy, muzyka The Sisterhood stanowiłaby idealny soundtrack...

Gift okazał się jednak tylko wstępem do następnego rozdziału dziejów Sióstr Miłosierdzia. Podczas gdy wszyscy uznali już grupę za definitywnie rozwiązaną, Eldritch wraz ze swoją amerykańską przyjaciółką Patricią Morrison reaktywowali Sisters Of Mercy i latem 1987 roku wypuścili na rynek singla *This Corrosion*. Rytmiczny utwór szybko stał się przebojem (może przez swój dość przewrotny tytuł, kojarzący się fonetycznie ze słowem „disco"), zatem pod koniec listopada ukazała się nakładem Merciful Release następna pozycja: album *Floodland*.

Motyw wody często powracał w utworach Sisters Of Mercy. W utworze *Marian*, wyróżniającym się na zbiorze *First And Last And Always*, bohater tonie w mrocznych morskich głębinach. Zamykająca płytę *Gift* kompozycja *Rain From Heaven* opowiada o wielkiej ulewie kończącej się niemalże biblijnym potopem. Doprowadzony do obłędnej rozpaczy, po rozstaniu z ukochaną, bohater piosenki *Nine While Nine* czeka na swój pociąg w strumieniach deszczu. Zaś *Floodland* w przeważającej części poświęcony jest zagadnieniu wielkiej powodzi. Eldritch: *Uwielbiam bliskość wody. Jest ona najbardziej fascynująca z rzeczy, które prawie można ogarnąć. Jak seks. Niestety, nie umiem się z nią zmieszać. W wodzie nie mogę oddychać. Woda zawsze robiła na mnie wrażenie, ale nigdy nie był to strach. W strachu występuje element zaskoczenia, tymczasem woda nie jest mnie w stanie zaskoczyć. Jest czymś przeolbrzymim, a powódź może być bardzo stymulująca emocjonalnie. Jakże podniecające byłoby całkowite i entuzjastyczne poddanie się napływającym falom...*

Powódź, o której mowa na płycie *Floodland*, należy jednak traktować mniej dosłownie. Być może Eldritch rzeczywiście nie obawia się wody, drży jednak na myśl, że świat może nie przetrwać z powodu nuklearnej zagłady. Temat takiej właśnie apokaliptycznej powodzi przewija się w dwuczęściowej kompozycji *Flood*, a także w utworze *Dominion*.

Wprawdzie Eldritch bardzo stara się zachować psychiczną równowagę i stabilizację emocjonalną (dlatego nie znosi tras koncertowych), mógłby jednak śmiało znaleźć się wśród romantyków muzyki rockowej. W jego kompozycjach często pojawia się temat miłości tajemniczej, wymykającej się spod kontroli, tragicznej, wręcz zabójczej *(Lucretia My Reflection* – utwór dedykowany Patricii, *Nine While Nine* i *Driven Like The Snow* – oba nawiązujące do autobiograficznych przeżyć). Wyczuwalny jest też pewien fatalizm á la Jim Morrison czy Ion Curtis *(Rain From Heaven, Black Planet, Flood I, Neverland)*, pojawiają się motywy i symbole religijne: *Zostałem wychowany na symbolizmie religijnym. Nie jestem go w stanie uniknąć, chyba że ktoś napisze równie dobrą książkę jak „Biblia Króla Jakuba". Przede wszystkim jednak wierzę w niepamięć. Moja powódź byłaby bez sensu, gdyby nie płynęła ku niepamięci.*

Przyjrzyjmy się bliżej płytom Sisters Of Mercy. *First And Last And Always* jest pozycją mocno osadzoną w kanonach rocka – połowę utworów skomponował zresztą Wayne Hussey. Gdyby nie niski, przejmujący, wręcz fatalistyczny głos Eldritcha, muzyka nie bardzo odbiegałaby od późniejszych propozycji The Mission. Większość nagrań porywa dynamiką *(Black Planet, First And Last And Always, Walk Away)*, lecz również wywołuje uczucie bliżej nie sprecyzowanego niepokoju *(Marian)* lub nawet smutku *(Some Kind Of Stranger, Nine While Nine)*. Z kolei *Gift* – autorski LP Eldritcha – stanowi jakby esencję nastrojów osnuwających utwory z *First And Last And Always*. Może najbardziej pasuje tu określenie „przerost formy nad treścią" – jednak mało któremu wykonawcy udaje się wykraczać poza granice rocka, pozostając nadal artystą rockowym. Podobne próby kończą się zazwyczaj utknięciem w martwym punkcie (przedstawiciele firmy 4AD). Eldritch – przynajmniej na razie – znalazł złoty środek. Jego kompozycje pulsują rytmem, a jednocześnie hipnotyzują odbiorcę, tworząc plastyczne i mgliste wizje niczym z surrealistycznych obrazów.

Podobne klimaty przeważają na *Floodland* – rockowe kompozycje poddane tu zostały pełnej fantazji obróbce. Dzięki zastosowaniu różnych środków wyrazu (chór w *This Corrosion*, syntezatory w *Flood I*) Eldritch nadaje swojej muzyce monumentalny charakter. Potrafi też włączyć do swego repertuaru nastrojową balladę *1959* wykonaną wyłącznie przy akompaniamencie fortepianu – tylko dlatego, że prosiła go o to listownie pewna Izabela, posiadająca wyjątkowo piękny charakter pisma... W tych lirycznych momen-



SISTERS OF MERCY

tach Eldritch staje się bardzo podobny do Leonarda Cohena, którego namiętnie słuchał w młodości, uwodząc przy tym uczennice szkoły pielęgniarskiej w sąsiednim akademiku.

Na rockowej scenie aż roi się od przeróżnych ekscentryków i dziwaków. Wśród nich Andrew Eldritch wyróżnia się oryginalnym, trochę makabrycznym poczuciem humoru, a także niepospolitą osobowością. Marzy mu się łatwe w obsłudze urządzenie pozwalające wywołać wielką powódź i zmienić mapę świata. Nigdy nie kosztował kuchni japońskiej, aby pewne doświadczenia zachować na później. W głębi duszy jest romantykiem, dlatego stroni od przygodnych romansów. Do jego ulubionych utworów należą *Koncert na Wiolonczelę* Elgara, słynne *Je T'Aime* oraz *Didn't Know I Loved You Till I Saw You Rock And Roll* Glittera. Nie wierzy za bardzo w reinkarnację, ale gdyby to było możliwe, chętnie odrodziłby się jako kot.

TOMASZ BEKSIŃSKI

SISTERS OF MERCY







3

THE doors



WYMYŚLMY NA NOWO BOGÓW, WSZYSTKIE MITY RÓŻNYCH EPOK. ODDAJMY CZEŚĆ SYMBOLOM Z GŁĘBOKICH STAROŻYTNYCH LASÓW

(fragment *An American Prayer*)

Jednym z takich mitów, szczególnie bliskich Morrisonowi, musiała być biblijna opowieść o kuszeniu Ewy przez węża, mająca wyraźnie erotyczny podtekst. Siedmiomilowy wąż (wyobrażenie szosy, którą trzeba podążać na mityczny Zachód) pojawia się w środkowej części, kto wie czy nie najważniejszego, utworu The Doors – epickiego *The End*. Jego krewniak Jaszczur jest natomiast bohaterem wieloczęściowego rockowego poematu *The Celebration Of The Lizard*.

Jaszczurka i wąż są utożsamiane z wyczuwalnymi podświadomie siłami zła... Nawet jeśli nigdy nie widziało się ani jednego węża, wydaje się on ucieleśnieniem wszystkiego, czego się lękamy. To (The Celebration Of The Lizard) jest swego rodzaju zaproszeniem do ciemnych, złych sił. Trudno powiedzieć, jak dalece poważnie Morrison traktował wprowadzenie do utworów podobnej symboliki – w każdym razie publiczność odniosła się do niej na tyle poważnie, iż w jej oczach odziany zazwyczaj w czarne skóry, charyzmatyczny wokalista The Doors był Królem Jaszczurem: symbolem seksu, anarchii, chaosu i wyzwania, nieustannie rzucanego bogobojnej, purytańskiej Ameryce. „Złą" sławę Morrisona, jako człowieka nieobliczalnego i kapryśnego ugruntowywały prowokowane przezeń zamieszki podczas koncertów. W grudniu 1967 roku, po scysji z policją w New Haven został prosto ze sceny wyprowadzony do aresztu; w maju następnego roku doszło do rozróby na koncercie w Chicago, w sierpniu – w Nowym Jorku; podczas jesiennego tournée po USA tylko dwa pierwsze występy przebiegały we względnie spokojnej atmosferze.

Mimo to The Doors byli przez dłuższy czas, niezależnie od ekscesów i pogłębiającego się uzależnienia wokalisty od mocnych trunków, ulubieńcami prasy. Dziennikarze widzieli w członkach zespołu przedstawicieli nowej, kontestującej inteligencji. Podobnie jak we Franku Zappie i jego formacji Mothers Of Invention.

Ową łaskę prasy The Doors mieli utracić dopiero po słynnym i właściwie nie do końca wyjaśnionym incydencie w Miami 1 marca 1969 roku. W oczach publiczności nie stracili jej jednak nigdy, o czym dobitnie świadczy fakt, że po raz pierwszy w historii amerykańskiego show-businessu osiem kolejnych albumów jednego wykonawcy osiągnęło status złotej płyty.

2. Trudno wyobrazić sobie bardziej błyskotliwy debiut niż wydany w styczniu 1967 roku album *The Doors*. Była to pełna, dojrzała propozycja artystyczna, której bieguny stanowiły ostentacyjny erotyzm *Light My Fire* (aż dziwne wydaje się, iż była to kompozycja Robbiego Kriegera, a nie Morrisona) i *The End* – jak gdyby zapis podróży do mitycznej krainy pierwotnych instynktów, poza którą jest już tylko ostateczne unicestwienie. Albo też i wielkie oczyszczenie i odrodzenie – koniec będący zarazem początkiem nowego bytu.

Staramy się powiedzieć – sumuje filozofię The Doors Ray Manzarek – *że jesteś nie tylko istotą uduchowioną, ale i bardzo zmysłową i nie jest to złe, lecz prawdziwie piękne. Piekło zdaje się być bardziej fascynującym i niezwykłym miejscem niż niebo. Musisz „przebić się na drugą stronę" by stać się pełnym człowiekiem.*

Pochodzimy z Zachodu – oświadczył w jednym z pierwszych wywiadów Morrison – *a świat, naszym zdaniem, powinien stać się nowym Dzikim Zachodem: światem zmysłowym i złym, niesamowitym i upiornym.*

W epoce rozkwitu hippiesowskiej kontrkultury, The Doors opowiedzieli się jak gdyby za „ciemną stroną rockowego spektaklu". Nie pasowali do atmosfery emanującej z Haight-Ashbury w San Francisco i chyba nie jest przypadkiem, iż nie zostali zaproszeni do udziału w święcie miłości i pokoju, w jaki latem 1967 roku zamienił się Monterey International Pop Festival.

3. Album *The Doors* nie pozostawia najmniejszym wątpliwości, że zespół doskonale orientował się we wszelkich „nowinkach" na rockowym rynku. Była to epoka odkrywania na nowo bluesa, wraz z całą jego dotąd podejrzaną zmysłowością (włączenie *Back Door Man* Williego Dixona), ale już bez owego irytującego imitowania czarnych wokalistów. Pod tym względem istotnym wzorem dla The Doors (obok Anglików) musiały być osiągnięcia grupy Paul Butterfield Blues Band. Ona też, warto dodać, jako pierwsza w udany sposób wprowadziła rok wcześniej pewne orientalne elementy w suicie *East-West*, co z pewnością zaważyło na ostatecznym kształcie *The End*. Kiedy wreszcie Butterfield wprowadził już w 1967 roku sekcję dętą na płycie *The Resurrection Of Pigboy Crabshaw*, wyprzedzając ową całą rock-jazzową falę spod znaku Chicago, Chase i Blood Sweat And Tears, The Doors niecałe ponad rok później odpowiedzieli bogato zaaranżowanymi utworami włączonymi do zbioru *The Soft Parade*.

Jedną sprawą, dla której dumny jestem z naszego czwartego albumu jest to, że „Touch Me", również wydany jako singel, był pierwszym rockowym hitem z jazzową solówką: Curtisa Amy'ego na saksofonie tenorowym – powiedział Morrison w wywiadzie dla „Down Beatu" w 1970 roku.

The Doors śledzili jednak szczególnie bacznie to, co działo się na Wyspach Brytyjskich. Nie na darmo jeden z krytyków powiedział ironicznie, iż są oni najbardziej angielskim z amerykańskich zespołów, jeśli chodzi o muzykę i typ ekspresji oraz wprowadzanie pewnych akcentów teatralnych. Morrisona bardzo często porównywano z Mickiem Jaggerem – obu uważano za symbole seksu – w obu przypadkach debiutanckie płyty miały surowe, agresywne, niemal koncertowe brzmienie. Nic w tym dziwnego, ponieważ nagrane były na czterośladowych magnetofonach, wykluczających niemal zupełnie wszelkiego rodzaju studyjno-produkcyjne sztuczki. Nie inaczej powstała zresztą i pierwsza płyta The Kinks – grupy, mającej znaczny wpływ na The Doors w pierwszym okresie kariery, obejmującym album *The Doors, Strange Days* i *Waiting For The Sun*. Można go dostrzec w manierze wokalnej Morrisona i w melodycznych zwrotach w utworach w rodzaju *End Of The Night, Unhappy Girl, People Are Strange* czy *Hello I Love You* – daleko jednak ważniejsze z perspektywy czasu wydaje się łączące Raya Davisa i Morrisona zamiłowanie do pewnej teatralności, chwilami „kabaretowości" i przesadnych gestów.

W tym kontekście nie jest faktem zaskakującym pojawienie się utworu *Alabama Song* Brechta i Weila z *Opery za trzy grosze*, melodyjki jakby z wesołego miasteczka w *Strange Days*, odgrywania sceny rozstrzelania przy wykonywaniu *Unknown Soldier* (był to jeden z pierwszych wideoclipów w historii rocka), wreszcie – interpretacja owych wieloczęściowych, powstających ciągle na nowo (na koncertach) kompozycji w rodzaju *The End, When The Music's Over* czy *The Celebration Of The Lizard*.

4. *The Doors* powstawał w atmosferze entuzjazmu – był efektem wielkiej chęci zadziwienia i podbicia świata. *Ten pierwszy nasz album był właściwie*

KRÓL JASZCZUR



albumem decydującym o naszej egzystencji – wspomina po latach Ray Manzarek. – *Oto czterech niewiarygodnie głodnych młodych ludzi, starających się, wręcz zabijających się, desperacko pragnących wydać płytę – dobrą płytę – dla amerykańskich słuchaczy i pragnących, by słuchaczom się ona spodobała.*

Paul A. Rothchild wspomina rejestrację *The End* jako jeden z najpiękniejszych momentów, które przeżył w studiu. *Sądzę, iż złożyła nam wizytę muza – zamieniła nas w słuch, a maszyny same wiedziały co robić...*

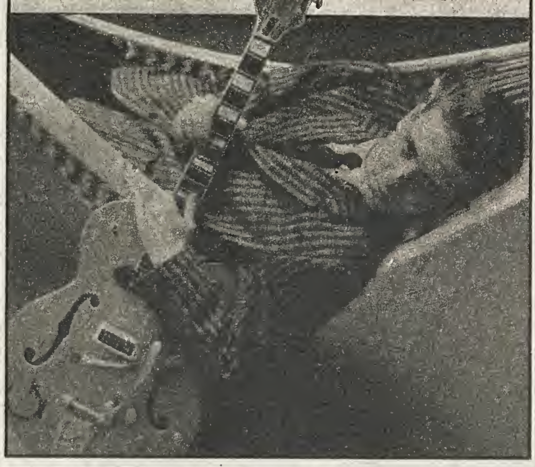
Nie jest tajemnicą, że na tej płycie znalazły się najlepsze utwory z ówczesnego repertuaru The Doors. Nie ustępujących im kompozycji starczyło jeszcze na jeden krążek – *Strange Days.* Tym razem jednak zespół miał już do dyspozycji magnetofon ośmiościeżkowy i mógł pozwolić sobie na pewne eksperymentowanie ze studiem – co zresztą w owej epoce, już po ukazaniu się *Sergeant Pepper's Lonely Hearts Club Band* The Beatles było czymś oczywistym. Brzmienie zespołu – niewątpliwie w dużej mierze za sprawą Rothchilda – stało się pełniejsze, wielowymiarowe, bardziej wyrafinowane. Chociaż *Strange Days,* jeśli chodzi o jakość utworów, nie przewyższył debiutu, stanowił jednak cenne jego dopełnienie. Nieco przesadne wydaje się dowodzenie wielu krytyków o jego jedności tematycznej, takie wrażenie wszakże mogło powstać dzięki ciągłemu powracaniu pewnych motywów: samotności, zagubienia, alienacji i smutku. Wreszcie w uczuciu totalnego zagrożenia, wyzierającego z drugiego po *The End* poematu rockowego – *When The Music's Over.*

5. Kryzys w zespole nastąpił szybciej niż można było przypuścić nawet w najśmielszych ocenach, bo już na początku 1968 roku, kiedy przystąpiono do nagrywania trzeciej płyty długogrającej. Praca nie kleiła się, a z całą pewnością nie ułatwiała jej nieustanna nietrzeźwość Morrisona. Często tracił on przytomność, sesje były zrywane. Okazało się ponadto, że planowany na całą jedną stronę albumu *The Celebration Of The Lizard* okazał się zlepkiem nijak do siebie nie przystających fragmentów – muzycznym i poetyckim chaosem. Kiedy zapadła wreszcie decyzja o zamieszczeniu na płycie tylko jednego fragmentu poematu, *Not To Touch The Earth,* Morrison stracił już do końca zainteresowanie całością. Co gorsze, zwolnione w ten sposób miejsce trzeba było zapełnić skomponowanymi na prędce utworami, z których co najmniej cztery należy uznać za nieciekawe – o wiele poniżej doorsowskich standardów *(Summer's Almost Gone, Wintertime Love, Yes, The River Knows* i *We Could Be So Good Together).* Pewne zastrzeżenia można również wysunąć pod adresem *Love Street* (banał) i *Unknown Soldier* (pretensjonalna teatralność), choć ten drugi został przez wielu krytyków uznany za bardzo ważny.

Waiting For The Sun – bo tak właśnie zatytułowano trzeci album – okazał się najbardziej niespójną i nierówną płytą w dyskografii The Doors. Na dodatek – najmniej rockową. Z atmosfery towarzyszącej powstawaniu debiutanckiego krążka nie pozostało nic. Morrison wydawał się być zniechęcony, rozczarowany całym tym rockowym cyrkiem – na co niewątpliwy wpływ miał incydent w New Haven. Coraz mniej atrakcyjna była dlań rola symbolu seksu dla nastolatek i poza samozwańczego Króla Jaszczura. Pochłaniał go projekt nakręcenia pełnometrażowego filmu dokumentalnego o The Doors i pisanie poezji.

Pomimo oczywistych niedostatków, *Waiting For The Sun* zdumiewająco szybko znalazł się na pierwszym miejscu amerykańskiej listy bestsellerów. Wraz z jego ukazaniem się w lipcu 1968 roku skończył się również pierwszy etap w karierze The Doors.

JERZY A. RZEWUSKI
cdn



EDDIE COCHRAN

SUKCES ZZA GROBU

Są dwa wytłumaczenia tego faktu: albo dzisiejsze przeboje są marne i jest ich mało, albo te z czasów rock-and-rolla były tak dobre, że przez ćwierć wieku nie straciły swego blasku i nadal stanowią atrakcję dla słuchacza.

W Polsce panowała moda (nieco wymuszona, przyznajmy) na „dinozaury", na Zachodzie wznawiane są z powodzeniem nagrania z przełomu lat 50. i 60. Wcale nie chodzi o longplaye, które w bezszumowych wersjach CD mają powodzenie u czterdziestolatków z powodów sentymentalnych. Nie, chodzi o single, czyli piosenki pojedyncze lansowane przez radio i telewizję – żeby dostały się na listy przebojów muszą się podobać przede wszystkim masom młodzieży. I oto wydane po latach przeboje Sama Cooke, Louisa Armstronga i ostatnio Eddie Cochrana stają się powtórnie bestsellerami.

To ostatnie nazwisko może być u nas zupełnie zapomniane czy nawet nieznane, bo w czasach, gdy Cochran śpiewał, w Polskim Radiu nie nadawano w ogóle rock-and-rolla. Mimo że był idolem The Who i Jimmiego Hendrixa i wielkim konkurentem Elvisa Presleya, nie zdążył zapisać się w pamięci fanów zbyt wieloma osiągnięciami. Miał zaledwie 21 lat, gdy prowadzony przez niego samochód w drodze na londyńskie lotnisko wpadł w poślizg i uderzył w latarnię. Eddie Cochran zginął, jego przyjaciel – Gene Vincent i narzeczona zostali ciężko ranni. Do dziś w rocznicę śmierci idola, 17 kwietnia, na szosie pod Londynem zbierają się tłumy fanów pamiętających jego wspaniałe nagrania. W 1960 roku, po udanym tournée po Wielkiej Brytanii, Cochran i Vincent wracali do Ameryki. Na angielskich listach była wtedy piosenka Eddiego – *Three Steps To Heaven – Trzy kroki do nieba.*

Obecnie na tych samych listach znajduje się jego nagranie z 1958 roku – *C'mon Everybody* opublikowane przez macierzystą wytwórnię Liberty. Wcale się nie zestarzało – brzmi mocno i świeżo. Prostota użytych środków i niezwykle precyzyjna aranżacja dają zdumiewający efekt. A to, na „wykośławionym", jałowym w tej chwili rynku rocka musiało się podobać. Czyżby nawrót do dobrego, starego rock-and-rolla?

Sukces po trzydziestu latach jest dziełem przypadku lub też zbiegiem okoliczności. Otóż dżinsowy potentat, firma Levis, postanowiła podlansować swój tradycyjny model spodni. Na reklamę przeznaczono kilka milionów dolarów, ale trzeba było wymyślić filmik dla TV. Ktoś przypomniał sobie autentyczną opowieść narzeczonej Eddiego Cochrana, która zastanawiała się, co ma założyć na sylwestrową prywatkę 1958 roku. Mieli tam być znani wykonawcy rockabilly z Południa: Buddy Holly i Bracia Everly. Wybrała oczywiście „bluejeans" marki Levis, bo była to naturalna część rockowego stroju. Eddie Cochran też był w dżinsach, a nawet o nich śpiewał nawołując do wspólnej, beztroskiej zabawy. Nosił brylantynowaną pierezę i grał na gitarze. Dla podkreślenia autentyzmu filmiku w podkładzie wykorzystano stare, oryginalne nagranie. Wytwórnia płyt, mając bezpłatny wideoclip, wznowiła płytę.

Eddie Cochran urodził się w 1938 roku w Oklahomie, ale wychował w Kalifornii. Z kolegą o tym samym nazwisku utworzył w 1954 roku duet The Cochran Brothers. Śpiewali country, wydali dwa single *(Guilty Conscience* i *Mr Fiddle),* ale kiedy zobaczyli koncert Elvisa w Dallas weszli w rockabilly, czego efektem były dwie kolejne płytki *Tired And Sleepy* i *Fool's Paradise.* W 1956 roku Eddie rozstał się z Henkiem Cochranem. Rozpoczął owocną współpracę z Jerrym Capehartem. Wystąpił w filmie *The Girl Can't Help It* śpiewając *Twenty Flight Rock.* W 1957 roku przyszedł pierwszy przebój – *Sittin In The Balcony,* potem ironiczny *Summertime Blues* o braku pieniędzy na lato, wreszcie *C'mon Everybody, Weekend, Somethin' Else* i *Cherished Memories.* Dynamiczne połączenie gitar akustycznych i ostrego basu, wsparte ciężkim brzmieniem perkusji, podobało się w Europie nawet bardziej niż w Ameryce. Białowłosy saksoński piosenkarz Heinz nagrywał w hołdzie Cochranowi, a jego kompilacja *Just Like Eddie* przebiła w latach 60. wiele modnych grup angielskich.

Cochran pojawił się jeszcze w dwóch rock-and-rollowych filmach: *Untamed Youth* i *Go Johnny Go,* ale nie zdążył w pełni rozwinąć swego talentu. A był prekursorem nagrań wielośladowych, dużo pracował w studiu, eksperymentował. Na obecnym przeboju *C'mon Everybody* grał na wszystkich instrumentach z wyjątkiem gitary basowej. Był fascynującą osobowością. W tym roku skończyłby 50 lat.

KORNELIUSZ PACUDA

SO

Dotychczas poręczne i często używane słowo SO kojarzyło się fanom rocka z tytułem kapitalnego, ostatniego albumu Petera Gabriela. Szefowie potężnego i mającego nosa do rockowych interesów koncernu płytowego EMI są jednak zdania, że wkrótce SO będzie utożsamiane jedynie z nowym, ponoć rewelacyjnym, brytyjskim duetem. Tworzą go byli muzycy znanej u nas formacji Opposition – Mark Long (voc, g) i Marcus Bell (k). Poznali się, jak głosi legenda, dzięki gadatliwości swoich dziewczyn i mając wspólnych faworytów w takich wykonawcach jak Joni Mitchell oraz The Police, założyli grupę Opposition, która nagrała dla wytwórni Charisma dwie dobrze przyjęte płyty, tudzież zdobyła spory rozgłos we Francji. Gdy jednak zespół, swoim składem i wykonywaną muzyką, stanął w prawdziwej opozycji do planów Marka i Marcusa, ci dwaj muzycy zdecydowali się pracować razem na własne konto. Ułatwiła im to firma EMI, podpisując w 1986 r. zadowalający obydwie strony kontrakt. Jako SO Marcus i Mark zadebiutowali w styczniu tego roku singlem *Are You Sure,* który określili jako cztery minuty strasznego hałasu. Rzecz jasna sporo w tym kokieterii, ale coś więcej o brzmieniu SO będzie można powiedzieć, gdy dotrze do nas debiutancki album *Horseshoe In The Glove* nagrany z pomocą kilku znanych muzyków sesyjnych, m. in. Steve Ferrone (dr), Neila Taylora (g) i Pete Vettese (k). Być może grupa SO wypełni w EMI lukę powstała na skutek rozwiązania się The Smiths, którzy mieli przysporzyć firmie tylu srebrnych i złotych płyt. „MM" też wierzy, że SO to potencjalna nowa gwiazda inteligentnej muzyki pop, choć pierwsze nagranie singlowe było so-so (takie sobie). (rr)



MAŁY


SHEENA EASTON

KRYTYCY „NEW MUSICAL EXPRESS", PROGRAMOWO NISZCZĄCY WSZYSTKO CO MA ZASPOKAJAĆ GUSTY SZEROKICH MAS, W ROCZNYCH PODSUMOWANIACH ZAWSZE W CZOŁÓWCE UMIESZCZAJĄ PŁYTY PRINCE'A. MICK GIRA, LIDER BEZKOMPROMISOWYCH SWANS, OKREŚLIŁ OBECNĄ SYTUACJĘ W AMERYKAŃSKIEJ MUZYCE JEDNYM SŁOWEM – *SHIT. A PRINCE?* – SPYTAŁEM. – *TAAK, ON JEST W PORZĄDKU.*


SHEILA E.


APOLLONIA


JILL JONES

PURPUROWY KSIĄŻĘ SEKSU

Możliwe, że gdyby żył dwieście lat temu, byłby bliskim przyjacielem hrabiego Alphonse Donatien de Sade. Ale czy można uważać za libertyna osobę, która każdą płytę dedykuje Bogu?

Prince, w przeciwieństwie do Michaela Jacksona, nie wstydzi się swego koloru skóry i jest w każdym calu spadkobiercą spuścizny czarnej muzyki. Widać to, a może raczej słychać, doskonale także w jego tekstach. Wydaje mi się, że nawet osoba nie znająca języka angielskiego, po wysłuchaniu takich płyt jak *1999*, *Purple Rain* czy *Sing O The Times* wywnioskuje z częstych, zmysłowych spazmów i westchnień, iż 90 proc. utworów Prince'a to funkowe erotyki. Czasami mam nawet wrażenie, że ten człowiek jest opętany manią seksu. Gdy jednak przypomnimy sobie, o czym śpiewali jego wielcy, czarni poprzednicy: James Brown, Sly Stone, Marvin Gaye czy Smokey Robinson to okaże się, że w ich utworach też dominował seks ukazywany, jak na owe czasy, równie śmiało i perwersyjnie. Kto jednak widział Prince'a (grającego samego siebie) w uważanym za autobiograficzny filmie *Purple Rain*, pamięta go jako człowieka wrażliwego, który ponad wszystko przedkłada muzykę.

Na płycie z muzyką z tego obrazu znalazł się popularny utwór *When Doves Cry*: *Może jestem zbyt wymagający/ Może tak jak mój ojciec mówię wszystko wprost/Może ty jesteś jak moja matka/Ją nic nie cieszyło/Dlaczego krzyczymy ciągle na siebie/To brzmi tak jak gołębi jazgot.* W utworze *I Would Die 4 U* Prince wyznaje: *Nie jestem kobietą/Nie jestem mężczyzną/ Kim jestem nigdy nie zrozumiesz/...Nie jestem istotą ludzką/Jestem gołębiem/ Jestem twoją świadomością/Jestem miłością.* Zaś w patetycznym finale zatytułowanym *Purple Rain* śpiewa: *Nigdy nie chciałem być twoim kochankiem na weekend/Chciałem tylko być takim przyjacielem/Kochanie, nigdy nie odebrałbym cię innemu/To okropne, że nasza przyjaźń musiała się skończyć/ .../Nadszedł czas by zmienić nasze życia/Ty mówisz, że potrzebujesz przykładu do naśladowania/Ale widzę, że trudno jest ci podjąć decyzję/Myślę, że lepiej będzie jak pozwolisz mi prowadzić się do purpurowego deszczu.*

Cóż, może w rzeczywistości Jego Purpurowość to romantyczny kochanek poszukujący swej Julii, ale dla własnego dobra ukryty pod maską macho, który z łatwością rozprawia się z każdą dziewczyną. Takim szamanem seksu i orgii zrobiła go wcześniej, w 1982 r., płyta *1999*. Już same tytuły – *Dance, Music, Sex, Romance (D.M.S.R.), Delirious* czy *International Lover* nie pozostawiały cienia wątpliwości co do ich zawartości. Szczególnie wyzywająco i otwarcie stawiał sprawy seksu ten ostatni utwór. *Kochanie wiem, że to musiało być dawno/Że dawno nie przeżyłaś tej satysfakcji/Widzę to patrząc w twoje oczy/A ty tak bardzo tego potrzebujesz, tak bardzo/ Może, jeśli jesteś dobrą dziewczyną/- Przedstawię cię mojemu pojazdowi/ Nie chcesz wejść do środka/Chodź, nie będę leciał zbyt szybko.*

Potem, czego nie ma już na wkładce z tekstami, następuje jakże seksy lot z dokładnym zapinaniem pasów włącznie i udanym, fałszywym orgazmem Prince'a, który na koniec rozbrajająco zaprasza do korzystania z usług linii Prince International! Hm, tak jak bym to wszystko widział w wykonaniu świetnej Katheleene Turner w filmie Kena Russela *Zbrodnie namiętności*.

Warto w tym kontekście pamiętać, że Prince był zawsze otoczony atrakcyjnymi dziewczynami, które grały w jego zespole, a obecnie robią karierę solową (Wendy, Lisa, Jill Jones). Ponadto te kuszące, słodkie istoty nigdy nie były jego kochankami, a gdy któraś z nich wspomina teraz Prince'a, zawsze robi to z respektem i uznaniem dla jego ogromnego talentu. Dopiero w roku ubiegłym Prince trafił na kolumny plotkarskie wszystkich gazet za sprawą nagłego romansu ze szkocką piosenkarką Sheeną Easton. Z nią też wykonał przebój z ostatniej płyty – utwór *U Got The Look*.

O dziwo, kokietując swą lubą, 29-letni Książę z obcesowego sercołamacza przeistacza się w żarliwego kochanka śpiewając: *Co za szpan/To chyba zabrakło ci/Całej godziny na makijaż twarzy, kochanie/Już czas, okropne światła, każdy sprawdzony/Ale ty jesteś tak naturalnie piękna/Czy powiedziałem godzinę/Płonę ze wstydu/To co widzę/ Ależ szpan, ale szpan.* Miłość do Sheeny, zmiana image'u z erotycznego fircyka o zapędach Narcyza na uduchowionego intelektualistę ubierającego się na modłę orientalną nie powstrzymały go jednak od wyznania, że nadal lubi TO robić, nawet bardzo: *Chcę TO robić kochanie każdego dnia, dobrze/W łóżku, na schodach gdziekolwiek, dobrze/ Chcę TO robić kochanie cały czas/Bo gdy TO robimy jest tak bosko/ (The Ballad Of Dorothy Parker).*

Na szczęście od pewnego czasu Prince próbuje też poruszać inne, bardziej uniwersalne tematy, jak kwestia wolności *(Free* – album *1999)*, ciemnych stron życia w Ameryce *(America* – LP *Around The World in One Day)* oraz AIDS w tytułowym nagraniu z płyty *Sing O The Times*. W tych przypadkach Prince decyduje się na prostą, naiwną narrację i trudno w tych tekstach doszukać się śladów poezji. Jednakże jako twórca śmiałych, wyzywających erotyków Jego Purpurowość pozostaje prawdziwym Księciem tego gatunku.

ROMAN ROGOWIECKI

PS. Prince od dawna posługuje się nieco zwyrodniałą pisownią, i tak w jego języku U oznacza *you*, 4 to *for*, a 2 to angielskie *to*.

KSIĄŻĘ

Muzyka tworzona przez czarnych wykonawców jest u nas praktycznie nie zauważana i ignorowana. Pomijając bluesmanów, jazzmanów, pionierów rock'n'rolla i ewentualnie gwiazdy reggae, jedynym powszechnie docenianym muzykiem o ciemnym odcieniu skóry jest Jimi Hendrix. Uznaje się co prawda za wielkich takich artystów, jak Stevie Wonder, Michael Jackson czy Quincy Jones, lecz tworzą oni (może z wyjątkiem Jacksona) w ramach nurtu określanego mianem Adult Oriented Rock (rock dla dorosłych). Równolegle z nimi od początku istnienia rock'n'rolla działali inni, mający istotny wpływ na rozwój czystego, niepokornego rocka. W dużym uproszczeniu myślę o linii: Little Richard-James Brown-Jimi Hendrix-Sly Stone-George Clinton i Parliament-Rapperzy z Bronxu. Ostatnim ogniwem tego ciągu są wykonawcy związani z wytwórnią Def Jam (Run D.M.C., Public Enemy i L.L. Cool J.) oraz Prince.

Kreowanie muzyki rockowej w latach osiemdziesiątych jest wbrew pozorom niełatwe. W zasadzie nikomu nie udało się wyjść poza schematy stworzone przez The Rolling Stones, zaś solowa kariera Jaggera dowodzi, że nawet mistrz nie może być pewien sukcesu. W jaki sposób zachować rhythmandbluesowe korzenie, przybliżyć je dzisiejszym odbiorcom i umieścić tę mieszankę pomiędzy panującymi trendami? Prince znalazł wyjście: z lekkością przetransponował klasyczne formy i schematy rhythm and bluesa, łącząc je z najbardziej nowoczesną produkcją dźwiękową. Specyficznie potraktował funkcję głosu i gitary oraz podporządkował sobie prawa rządzące show-businessem dzięki stworzeniu perwersyjnego, ale i niepowtarzalnego image'u.

Czym zatem jest muzyka Prince'a? Popem, rock'n'rollem, funky, rhythm'n'bluesem? Wszystkim jednocześnie. Żaden z kierunków muzycznych nie jest Księciu obcy. Jego kompozycje zbudowane są z dźwięków, które znamy z wcześniejszych produkcji innych wykonawców, ale nikt nie podejrzewałby, że mogą znaleźć się w jednym zestawieniu. Wszechobecny jest w nim duch Davida Bowie, ale także i wielu innych. „Brudną wyobraźnię" przejął Prince od niedocenionego Ricka Jamesa, na albumie *Around The World In A Day* można znaleźć odniesienia do The Beatles, zaś w nowoczesnej piosence folkowej *Sometimes It Snows In April* z płyty *Parade* słychać rodzaj hołdu dla Joni Mitchell. Dodając The Doors, Hendrixa czy Alice Walkera, który jako pierwszy zwrócił uwagę Księcia na kolor purpurowy, wcale nie zamkniemy listy wykonawców, którzy mieli wpływ na twórczość naszego bohatera. W muzyce Prince'a można doszukać się całej historii rock'n'rolla.

Jego muzyczne wcielenie przypomina rodzaj filmowej iluzji, bliskiej Ziggy Stardustowi, wykreowanemu przez Davida Bowie. Porównania z Hendrixem wynikały przede wszystkim z podobnego stylu gry na gitarze i podobieństwa zewnętrznego, zwłaszcza w doborze strojów, które miały podkreślać erotyzm ciała. Przy podobnej co Hendrix ekspresji w grze, wyraźniej od niego podporządkowuje improwizację strukturze kompozycji. Prince może być uznawany obecnie za jednego z najlepszych i najciekawszych gitarzystów rockowych. Najważniejszy jest jednak jego głos, a właściwie „kilka głosów" – od głębokiego barytonu, przez piskliwy alt, do niesamowitego wrzasku. Najczęściej stosuje sposób interpretacji znany z przeboju *Kiss* i jest to kolejne odniesienie do przeszłości, a konkretnie do stylu śpiewania Curtisa Mayfielda. Jednak tak samo jak sposób gry na gitarze, stworzony przez Prince'a styl wokalnej interpretacji jest niepowtarzalny i wymyka się wszelkim jednoznacznym porównaniom.

Jimi Hendrix miał swój *Purple Haze*, stanowiący dla niego rodzaj wyboru pomiędzy bielą i czernią. Dla Księcia purpura jest jeszcze jedną częścią rock'n'rollowej przeszłości związanej z psychodelią. Barwa ta stanowi częsty element jego garderoby, uzupełniającej obraz tej seksualnej psychodelii. Prince nie zakończy chyba jednak artystycznej kariery tak tragicznie jak Hendrix, bowiem głęboko rozumie rockową historię; nie opuszcza go także poczucie własnej wartości i samouwielbienie.



Prince urodził się 7 czerwca 1958 roku, a jego prawdziwe nazwisko to Robert Nelson. Karierę muzyczną rozpoczął mając 17 lat. Opuścił wtedy rodzinny Minneapolis i pojechał do Nowego Jorku. Wiózł ze sobą kasetę z nagraniami demo, którą zaoferował kilku wytwórniom, dodając, że on i tylko on może być producentem swojego pierwszego albumu. Kilkakrotnie pokazano mu drzwi i dopiero po roku starań znalazł zrozumienie w Warner Brothers. Był najmłodszym artystą, któremu w tej wytwórni płytowej zagwarantowano wyłączność w kierowaniu swoją karierą, a za podpisanie kontraktu i na realizację debiutanckiej płyty otrzymał półtora mln dolarów!

Mając 19 lat Książę nagrał prawdziwie autorski album *For You*, jest autorem i aranżerem całego zamieszczonego na płycie materiału (mieszanka gospel i ostrego rocka) oraz grał na wszystkich instrumentach. Płyta nie odniosła większego sukcesu, choć od kilku lat, tak jak i wszystkie następne albumy, nosi miano platynowego krążka. Kolejne longplaye: *Prince, Dirty Mind* i *Controversy* nie zmieniły zasadniczo jego pozycji. Przełom nastąpił pod koniec 1982 roku, kiedy ukazał się podwójny album *1999*, który przyniósł pierwszy światowy przebój Prince'a – *Little Red Corvette* oraz tak świetne numery, jak *Delirious* czy tytułowy *1999*. Jest jedną z najlepszych pozycji w dyskografii Księcia i zawiera wszystkie charakterystyczne elementy jego stylu. Nie należy się zatem dziwić, że sprzedano ponad 3 mln egz. tego albumu. Była to jednak dopiero zapowiedź burzy, która miała przynieść „purpurowy deszcz". Zanim to nastąpiło, Robert Nelson stworzył podstawy swojego komercyjnego sukcesu – niepowtarzalny, prowokujący imagé.



Erotyka, obok religii, stanowiła zawsze główny temat muzyki soulowej. Prince do erotyki dodał perwersję. Podstawy jego image'u zostały stworzone podczas trasy promującej płytę *1999*, kiedy to na koncertach występował w długim płaszczu, pod którym miał tylko skąpe slipy i getry. Na zdjęciach pojawiał się również w tym stroju, siedząc np. na białym koniu. Nawet kiedy pozował ubrany, coś perwersyjnego emanowało z jego postaci. Na zdjęciu z okładki albumu *Purple Rain* siedzi na purpurowym motorze, jakby go ujeżdżając, ubrany w ekstrawagancki garnitur, białą brokatową koszulę i białe koronkowe rękawiczki. Wszystko zostało tak dobrane, by nie dać jednoznacznej odpowiedzi na pytania: *Czy jestem biały, czy czarny? Czy jestem facetem, czy ciotą? (Controversy)*. W teledyskach Prince odgrywa rozneglizowane, zmysłowe role z reguły przypadające kobietom.

Kim więc jest ten mężczyzna ubierający się w damskie ciuszki, chłopak, którego nienawidzą inni chłopcy, a nastoletnie panienki na jego widok dostają zawrotów głowy? Bardziej niż ktokolwiek inny jest to współczesny Little Richard. Ten zimny paw w wyperfumowanej, polakierowanej fryzurze, z podkreślonymi kredką oczami miał chyba największy wpływ na wizualny obraz Prince'a. Dla Hendrixa gitara stanowiła przedłużenie fallusa, Prince uczynił ją jednym z podstawowych rekwizytów swojego spektaklu. Tańcząc z nią, skacząc, w końcu doprowadza ją do świetnego orgazmu.

Seksualność Księcia Purpury jest dwuznaczna tylko w teatralności tworzonej przez niego postaci – że jest to gra mistrzowska niech świadczy fakt, iż mając zaledwie 158 cm wzrostu, stał się symbolem seksu obecnego dziesięciolecia. Wszystkie artystyczne zabiegi Prince'a wynikają ze świadomie kreowanego narcyzmu z dwuznacznym podtekstem. W rzeczywistości – jeżeli ktokolwiek może go znać naprawdę – jest podobno bez skazy. By nie dać jednoznacznej odpowiedzi na pytanie: jaki jest naprawdę, skrzętnie ukrywa swoje życie osobiste.



W 1984 roku ukazał się LP *Purple Rain*, który rozszedł się w liczbie ponad 7 mln egzemplarzy. Jest to dość banalna historia z obowiązkowym happy endem, lecz nieźle zrealizowana. Równolegle z płytą pojawił się w kinach film pod tym samym tytułem. Obraz ten w znacznym stopniu przyczynił się do umocnienia seksualnego mitu otaczającego Prince'a.

Ogromny sukces komercyjny zarówno albumu, jak i filmu sprawił, że na swoim następnym longplayu Książę postanowił spróbować zmian. Nie do końca mu się to udało i płyta *Around The World In A Day* jest dość nierówna, a krytycy muzyczni obeszli się z nią dość ostro. Znalazło się jednak na niej kilka świetnych numerów, jak *Paisley Park, Pop Life* czy *Raspberry Beret*. Na szczególną uwagę zasługuje *America*, w którym Książę odszedł od łóżkowej tematyki i napisał swoją wersję *Born In The USA*.

Ósmy album Prince'a *Parade* to już prawdziwe rockowe arcydzieło. Wszystko jest na nim idealne, począwszy od rewelacyjnej realizacji i produkcji nagrań, przez same utwory i ich różnorodność, po układ piosenek, tworzący idealnie dobrany ciąg dramatyczny, zakończony przejmującą balladą *Sometimes It Snows In April*. Oprócz soulowego przeboju *Kiss*, jeszcze trzy numery weszły na szczyty list przebojów: *Mountains, AnotherLoverHolenyoHead* i rewelacyjny dla mnie *Boys And Girls*. *Parade* to drugi soundtrack w karierze naszego bohatera, tym razem do filmu *Under The Cherry Moon*.

Ubiegły rok przyniósł podwójny *Sing O The Times*, będący drugim, po debiutanckim, albumem zrealizowanym w całości przez Księcia. Trzy poprzednie firmował Prince And Revolution. Poza superlatywami, niewiele można dodać opisując *Sing*, może jedynie to, że znalazła się na nim brawurowa, 9-minutowa koncertowa wersja *It's Gonna Be A Beautiful Night*, w której Księcia i Rewolucjonistów wspomaga sześciotysięczny chór „wonderful Parisians". Dla mnie to bezsprzecznie ubiegłoroczny numer jeden. Obecnie wszyscy z niecierpliwością czekają na jubileuszowy, dziesiąty album Księcia. Czy będzie to zapo-



PURPLE RAIN

Akcja tego filmu, choć jest to obraz autobiograficzny, od początku do końca przypomina cliché. Prince, cholernie ambitny i diablo zdolny chłopak, święcie wierzy w tworzoną przez siebie muzykę. Jego zespół – The Revolution walczy o miejsce do grania w popularnym klubie z bardzo komercyjną i profesjonalną kapelą The Time. Wkrótce lider The Time, Morris, wyciąga ręce po dziewczynę-wokalistkę, która wcześniej wpadła w oko Prince'a i w dowód miłości sprezentowała mu już nawet piękną gitarę. Prince, jak na prawdziwego samca przystało, nie znosi konkurencji i posądzając Apollonię o zdradę zrywa z nią, kończąc idyllę rękoczynem. Co gorsza, w domu gdzie kłótnie rodziców były na porządku dziennym, dochodzi do dramatycznego finału – ojciec, były muzyk, popełnia samobójstwo. W międzyczasie członkowie The Revolution oskarżają swego szefa o szczytowy egoizm i muzyczną tyranię. Jakby tego było mało, piękna Apollonia staje na czele seksownego tria i boss wspomnianego lokalu nie widzi już u siebie miejsca dla Prince'a. Daje mu jednak jeszcze raz szansę. Totalnie rozbity psychicznie, ale jeszcze bardziej zdeterminowany chęcią pokazania wszystkim na co go stać, Prince staje na scenie i zapowiada utwór, który napisały dziewczyny z jego zespołu. Kapela na moment drętwieje, zdając sobie sprawę z metamorfozy szefa i wraz z nim podbija tłum patetycznym, wywołującym dreszcze hymnem *Purple Rain*. Happy end, czyli Prince i Apollonia znów razem, owacje, szaleństwo, łzy...

Rzecz jasna całość jest świetnie sfilmowana, Prince poza sceną zimny, wyrachowany i uduchowiony, Apollonia ponętna i dumna, akcja wartka, choć bez typowej amerykańskiej brawury, brutalności i zbędnych rozbieranych scen prześladujących ostatnio naszych scenarzystów, dialogi życiowe, ale bez wulgarności. No i najważniejszy element filmu, czyli MUZYKA. Jak na dobry film rockowy przystało muzyka, będąca oczywiście dziełem Prince'a, na bieżąco komentuje to, co dzieje się na ekranie. Jej typowa dla funky ekspresja umożliwia większe emocjonalne zaangażowanie widza w przygody Prince'a, choć popisy The Time są równie ekscytujące, gdyż muzycznie i choreograficznie są bez zarzutu, podobnie jak Apollonia i jej koleżanki.

Zgodnie z założeniem film zrobił z Prince'a megagwiazdę na całym świecie, zaś cała płyta, jak i single z utworami *When Doves Cry Let's Go Crazy* czy *Purple Rain* styranizowały listy przebojów 1984 r. By jednak w pełni docenić kunszt sceniczny Prince'a, który film *Purple Rain* tylko sygnalizuje, należy koniecznie obejrzeć na wideo porywający, fantastycznie wyreżyserowany i odegrany show Jego Purpurowości – *Prince And The Rewolution Live*.

ROMAN ROGOWIECKI

***Purple Rain*, reż. Albert Magnoli; wyst. Prince, Apollonia czyli Patti Kotero, Morris Day; USA; 1984.**

wiadana czarna wersja „Białego Albumu" The Beatles (w pomarańczowej okładce?!), czy coś zupełnie innego – nie wiadomo.

Prince przyczynił się do sukcesów wielu innych wykonawców, a głównie wykonawczyń, gdyż jako jeden z pierwszych zajął się promocją interesujących i utalentowanych dziewczyn. Jego zainteresowanie młodymi piosenkarkami to też część misternie budowanego image'u. Najpierw była Denise Matthiew czyli Vanity, potem kolejno Apollonia, czyli Patti Kotero, Sheila E, Sheena Easton, a ostatnio urocza Jill Jones. Na stałe opiekuje się zespołami Vanity 6 (złożonym z panienek występujących w jego chórkach), The Time oraz członkiniami „rewolucyjnej" frakcji, solistkami Sheilą E i Tammarą. Komponował także piosenki dla Cindy Lauper, Chaki Khan i grupy The Bangles.

★

Nie widziałem Prince'a na żywo, lecz obejrzałem trzygodzinny zapis koncertu z trasy promującej *Purple Rain*. Był to gigantyczny spektakl w prawdziwie amerykańskim stylu, nie dający chwili wytchnienia. Coś w rodzaju cyrku z ciągle zmieniającą się scenografią, kostiumami i akcją. Prince ciągle jest w ruchu, w czasie trwania dwóch numerów przebiega więcej metrów niż niektórzy muzycy przez cały koncert. Każdą piosenkę przeżywa w inny sposób, wczuwając się doskonale w zawarte w niej emocje. Kiedy trzeba – jest liryczny, kiedy indziej brutalny i agresywny, ale zawsze prowokująco seksualny.

Oto fragmenty artykułu, jaki pojawił się w „Rolling Stone", opisujący ostatnie koncerty Prince'a w Berlinie Zachodnim.

Czwarta rano, w małym jazzowym klubie „Quasimodo" na pół pijana publiczność wysłuchała ostatnich piosenek amerykańskiego piosenkarza Joe Ridera. Nagle, zupełnie nie zapowiedzeni, na scenę weszli trzej muzycy: saksofonista, basista i pianista. Za perkusją usiadła kobieta o fascynującym wyczuciu rytmu – Sheila E. Pośrodku sceny, w czarnej skórzanej kurtce stoi niski człowieczek mocno trzymający gitarę.

– „Czy chcecie iść do domu?" – pyta Prince znudzoną publiczność, kokieteryjnie uśmiechając się.

– „Nieeeee!"

– „Ani ja" – odpowiada, a następnie odwraca się do grupy – „wydaje mi się, że moglibyśmy zagrać jeden blues". Brzmienie gitary w stylu T. Bone Walkera szybko stopiło się w serię bezbłędnych hendrixowskich solówek. To jest piosenka Jimiego „Red House". Prince śpiewa, swobodnie zmieniając tekst. Następnie krzyknął parokrotnie i odwalił dziką solówkę, przy której wszystkim wypadły sztućce z rąk, a temperatura w sali wzrosła o dziesięć podziałek.

Kilka godzin wcześniej Prince ze swoją nową dziesięcioosobową ekipą zakończył w berlińskiej „Deutschlandhalle" swój piąty koncert w ramach trasy „Sing O The Times". Relacje z występu były przepełnione danymi technicznymi. Podkreślano, że sprzęt został przywieziony w 13 ogromnych ciężarówkach, nagłośnienie miało moc 110 000 watów, a „light show" 240 000 watów. Według wszelkich obowiązujących krytetiów berliński koncert był wspaniały, ale nie według wymogów stawianych przez Księcia. Występ w klubie „Quasimodo" miał posłużyć do jeszcze bardziej perfekcyjnego zgrania zespołu przed kolejnym koncertem.

Następnego wieczoru w wypełnionej po brzegi 12-tysięcznej „Deutschlandhalle" Prince rozpoczął tytułową piosenką z ostatniego albumu. Następnie zapaliły się reflektory, ukazując scenę zaprojektowaną w formie miasta znanego z okładki „Sing O The Times". Imponujący megapolis kąpał się w światłach neonów, przypominających gigantyczny elektryczny bilard. 90 minut Prince i jego grupa niezmęczenie biegali, skakali, tańczyli, wykonując 19 piosenek, w tym 11 z ostatniego albumu. Podczas „Purple Rain" wydawało się, że lecą gromy, „If I Was Your Girlfriend" został wykorzystany na erotyczny show. Kiedy piosenka dobiegała końca Książę zwrócił się ku ogromnemu różowemu plastikowemu sercu, które powoli pulsowało, a nad nim błyszczały słowa „Sex i Miłość". Koncert ukazał najbardziej dotychczas funkowe oblicze Prince'a, zabarwione jazzowymi wpływami.

★

Każda rockowa generacja ma swoich idoli – lata osiemdziesiąte najlepiej uosabiają dwie, jakże różne, postacie – Bruce Springsteen i Prince Robert Nelson – Książę Purpury.

GRZEGORZ BRZOZOWICZ



PRINCE



MROCZNI NIEZALEŻNI

BREATHLESS

Kiedy późnym latem 1986 r. wytwórnia 4AD wydała drugi album formacji This Mortal Coil, wydawało się, że dla zespołu Breathless zaczną się lepsze czasy. O tym, czy *Filigree And Shadow* było arcydziełem czy kiczem, można długo dyskutować. Jedno jest pewne – utwory zaśpiewane przez Dominica Appletona były najjaśniejszymi punktami tego albumu. Appleton mógł być zadowolony, ale nie do końca. Otóż w ostatniej chwili Ivo Watts-Russell zrezygnował z zamieszczenia w zestawie utworu *Pride* – sztandarowej kompozycji Breathless. *Filigree And Shadow* nie zyskał popularności jakiej się spodziewano, tym samym na Appletona i Breathless Brytyjczycy nie zwrócili szczególnej uwagi. Od początku swojej działalności, aż do dzisiaj, na angielskim rynku zespół ten właściwie nie istnieje. Darmo szukać jego płyt na jakichkolwiek listach. Natomiast sporym wzięciem cieszy się we Włoszech i... Polsce. Zdążył już odbyć 3 duże trasy koncertowe po Italii, mało brakowało, a do Polski zawitałby latem ubiegłego roku.

Wszystko zaczęło się przed 4 laty, kiedy o wspólnym graniu zadecydowało 4 muzyków sesyjnych: Ari Neufeld (kbds), Tristram Latimer-Sayer (dr), Dominic Appleton (voc) i Gary Munday (g). Dwaj ostatni już wcześniej dali się poznać, nagrywając wspólnie z Anne Clark album *Sitting Room*. Muzyka Breathless korzeniami tkwi w psychodelicznym brzmieniu drugiej połowy lat sześćdziesiątych. Jego nagrania nieodparcie przywodzą na myśl wczesny Pink Floyd, jeszcze z Sydem Barretem. W brzmieniu zespołu słychać również inne inspiracje – pomysły zaczerpnięte od zespołów wytwórni 4AD (zwłaszcza Cocteau Twins). Nic w tym dziwnego, skoro producentem obu dotychczasowych albumów Breathless był John Fryer.

W 1984 r. członkowie Breathless założyli własną wytwórnię Tenor Vossa, której nakładem do końca następnego roku wydali 3 maxisingle: *Ageless, Waterland* i *Two Days From Eden*. Na ostatnim z nich znalazł się wspomniany *Pride*, blisko 8-minutowy utwór – kwintesencja wszelkich stylów, w obrębie których porusza się zespół. Płyty te przeszły jednak bez echa, podobnie jak debiutancki album *The Glass Bead Game*, wydany latem 1985 r. Nieco większą popularnością cieszył się następny EP *Nailing Colours To The Wheel*, zawierający przebojowe nagranie *Waiting On The Wire*. Na początku ubiegłego roku, podczas pracy nad kolejnym albumem, odszedł Latimer-Sayer, którego przy perkusji zastąpił Martyn Watts. Płyta *Three Times And Waving* ukazała się w listopadzie 1987 r. W stosunku do poprzednich dokonań nastąpił wyraźny zwrot w kierunku nowych brzmień. Muzyka stała się bardziej rytmiczna, chociaż faktura utworów pozostała nadal gęsta. W nagraniu *Into The Fire* pojawiła się gitara à la Edge, a w kilku innych kompozycjach wykorzystano ścianę dźwięku. Konstrukcja obu albumów jest jednak podobna.

Mimo niepowodzeń w rodzimym kraju, Breathless jest jednym z ciekawszych angielskich zespołów próbujących łączyć nowe ze starym.

CASSANDRA COMPLEX

Grupa powstała w Leeds w 1984 r. i od początku była otoczona nimbem tajemniczości. W jednym z pierwszych wywiadów jej członkowie powiedzieli, że specjalnie nie podają swoich nazwisk, a materiały reklamowe nie zawierają zdjęć, gdyż najważniejsza jest muzyka: w przypadku innych zespołów zbyt często schodzi ona na drugi plan. Jest jedynie pochodną wymyślonych przez menażerów osobowości muzyków.

Początki nie były łatwe. Na muzykę zespołu nikt nie zwracał szczególnej uwagi. Pierwszy maxisingel *March* zawierający utwory z przełomu lat 1984/85 zyskał popularność jedynie wśród fanów z Leeds. Własna wytwórnia zespołu – Complex – nie była w stanie zapewnić odpowiedniej promocji, toteż pod koniec 1985 roku zespół nawiązał współpracę z nowo powstałą, mającą duże ambicje, niezależną wytwórnią Rouska. Reklama prowadzona przez tę firmę szybko znalazła oddźwięk, ale nie w Anglii. Kolejny maxisingel, zawierający 3 nagrania: *Moscow-Idaho, Beyond Belief* oraz *David Venus* dotarł do I miejsca na listach niezależnych wytwórni w RFN i Belgii. Następstwem tego była trasa koncertowa, obejmująca Belgię, Holandię, RFN, Austrię i Węgry. Dzięki tym występom poznano muzyków tworzących grupę. Było ich trzech: Matts Dillon, Rodney Orpheus i Andy Booth. O ile na pierwszej płycie elektroniczno-gitarowe brzmienie było dość ciężkie, na drugiej ustąpiło miejsca muzyce łagodniejszej, bardziej przebojowej. Motoryczną muzykę zespołu, tworzoną głównie przez elektroniczny podkład i niezwykle, potężne brzmienie gitary, w pełni ukazał album *Grenade*. Skład zespołu zmniejszył się o Dillona, który w sesji nagraniowej nie wziął już udziału, był natomiast współkompozytorem 6 spośród 8 zawartych na płycie utworów. Pierwsza strona wydawnictwa jest jak gdyby wprowadzeniem – utwory będące pochodnymi tych wcześniej już znanych – druga zaś zawiera 3 długie, rozbudowane kompozycje, porażające słuchacza niespotykanym brzmieniem. Zwłaszcza *Raport From The Back* i *Motherad* robią olbrzymie wrażenie. Wydawałoby się, że w rytmice rock and rolla nie sposób wymyślić czegoś nowego. Orpheus i Booth pokazali, że nic bardziej błędnego. Na uwagę zasługuje również oprawa graficzna płyt. Okładki poszczególnych singli, a także albumu są niezwykle oszczędne, wszystkie prawie identyczne, różniące się jedynie kolorami i treścią zdjęcia umieszczonego pośrodku. Owe zdjęcia nawiązują do nazwy grupy, więc ich treść jest jednoznaczna.

Latem ubiegłego roku wytwórnia Rouska wydała pożegnalny album zespołu *Hello America*, na którym znalazły się nagrania zamieszczone na wszystkich dotychczasowych singlach. Pożegnalny, to nie znaczy, że ostatni. Zespół Cassandra Complex – coraz popularniejszy na kontynencie – przeniósł się do Belgii, gdzie od niedawna nagrywa dla wytwórni Play It Again Sam. Jego nowy, podwójny koncertowy album nazywa się *Feel The Width*.

THE LEATHER NUN

Zespół ten od 3 lat cieszy się sporym wzięciem na brytyjskim niezależnym rynku, mimo iż pochodzi ze Szwecji. Na początku tego roku odbył swoje pierwsze amerykańskie tournée zakończone skandalem. Trasa promować miała kompilacyjny album *Force Of Hapit*, którego pojawienie się na rynku wywołało zgorszenie purytańskiej Ameryki. Okładka płyty przedstawiająca niekompletnie ubraną zakonnicę sprawiła, że wytwórnia MCA zmuszona została do wycofania ze sklepów całego nakładu. Muzykę The Leather Nun nazwano za Atlantykiem psyho-erotic-art.

The Leather Nun powstał w


JONAS ALMQVIST (The Leather Nun)

BREATHLESS

Sztokholmie pod koniec 1985 r., z inicjatywy wokalisty Jonasa Almqvista i gitarzysty Bengta Aronssona. Wiosną następnego roku nowym zespołem zainteresowała się mała niezależna firma Sista Bussen. Po nagraniu dla niej singla *Ensam I Natt* The Leather Nun otrzymał propozycję współpracy od szwedzko-angielskiej wytwórni Wire. Jej nakładem ukazały się kolejne małe płyty *Gimme Gimme Gimme, Lollipop* i *Prime Mover*. Ciężkie, gitarowe brzmienie zespołu spodobało się Brytyjczykom, gdyż od tej pory wszystkie jego płyty trafiały do czołowej dwudziestki list niezależnych wytwórni. Do ubiegłego roku The Leather Nun legitymował się już dwoma minialbumami *Slow Death* i *Lust Games*, oraz płytą *Alive* nagraną na żywo. Zwłaszcza ta ostatnia w pełni oddaje charakter zespołu, jako że The Leather Nun najlepiej wypada podczas koncertów. Jego żywiołowy rock, mimo iż bazuje na brzmieniach New York Dolls, Gun Club i The Birthday Party, tworzy własny klimat, będący połączeniem ognistego brzmienia gitar i skandynawskiego wokalnego chłodu. Rok 1987 przyniósł zmianę brzmienia. Kolejne single, zachowując rock and rollową bazę, prezentowały lżejszą jego odmianę. Po przeboju *I Can Smell Your Thoughts* wytwórnia Wire wydała *Coll Shoes*, płytę poprzedzającą pierwszy pełnowymiarowy studyjny album Steel Construction. Muzyka na nim zawarta była sporym zaskoczeniem. Obok typowo rockowych utworów znalazły się taneczne rytmy *Dance Dance Dance, Coll Shoes*, a także podniosłe, tchnące patosem utwory *Just A Hustler* i *Let Me Be*. Producentem *The Steel Construction* był gitarzysta Aron. Jego wizja płyty zwyciężyła, chociaż doprowadziło to do rozłamu. Almqvist, prawdziwy rockandrollowiec – postanowił zerwać z zespołem i dalej pracować solo. Pozostali muzycy – winowajca Aron (g), Gert Wedling (dr), Nils Wohlrabe (g) i Freddie Wadling (b) jednak przekonali Jonasa, że jego miejsce jest w The Leather Nun. Całą piątką wyruszyli na podbój Ameryki. Jak to się skończyło, już wiadomo – skandalem, który czasami jest lepszy od najlepszej reklamy.

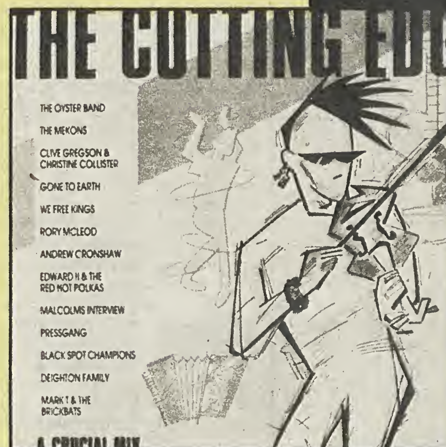
PRZEMYSŁAW MROCZEK

Z ŻYCIA INDIAN

● Wytwórnia Demon powołała do życia nowy oddział – Drop Out, który zadebiutował wydaniem albumu zespołu Haphash And The Coloured Coat, pod tym samym tytułem. ● Wytwórnia Factory, po raz pierwszy w swej historii podpisała kontrakt z zespołem z Japonii – The Jazz Defectors. ● Nową grupą nagrywającą dla firmy Red Rhino jest Attaco Decente, a jej pierwszy album to *The Baby Within Us Marches On*. ● Dawne nagrania dokonane dla belgijskiej wytwórni Le Disques du Crepuscule znalazły się na albumie *Eight Crepuscule Tracks* nie istniejącego już zespołu Cabaret Voltaire. ● Powstała nowa firma specjalizująca się w wydawaniu kaset wideo niezależnych wykonawców. Pierwsze kasety IKON Video zawierają koncerty The Moodists, Danielle Dax i The Chevalier Brothers. ● Zespół The Chesterfields odszedł z wytwórni Subway i założył własną firmę Household. Pierwsze wydawnictwo to EP *Goodbye Goodbye*. ● Popularny w niezależnych australijskich kręgach zespół The Hard Ones postanowił poszukiwać szczęścia w Wielkiej Brytanii. Londyńska wytwórnia Vinyl Solution wydała z tej okazji album *Worst Of The Hard Ones*, wbrew tytułowi zawierający najciekawsze nagrania tej formacji z lat 1984–88. ● Szefowie wytwórni Cherry Red doszli do wniosku, że Alien Sex Fiend dorósł już do płyty typu *The Best Of...* Oddział Cherry Red – Anagram wydał więc album *All Our Yesterdays*, na którym znalazły się nagrania z 9 singli zespołu, od *Ignore The Machine*, do *Hurricane Fighter Pilot*. (pm)

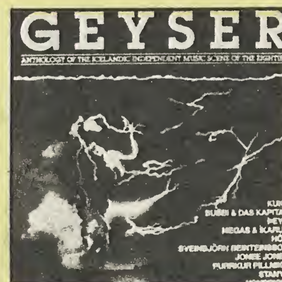
MROCZNI NIEZALEŻNI

THE CUTTING EDGE
Various (Cooking Vinyl)



Składankowy album prezentujący wykonawców jednej z ciekawszych nowych brytyjskich niezależnych wytwórni. Specjalizuje się w różnych odmianach muzyki filmowej. Sensacją ubiegłego roku była płyta Amerykanki Michelle Shocked. Na *Cutting Edge* jej zabrakło, są natomiast inni oryginalni wykonawcy: m.in. zespoły The Oyster Band, The Mekuns, Gone To Eard, We Free Kings i Pressgang. Jednym słowem – stare, tradycyjne tematy w nowym, momentami szokującym wykonaniu.

GEYSER
Various (Gramm Rec.).



Niezwykle ciekawa antologia najciekawszych niezależnych zespołów z Islandii, działających w latach osiemdziesiątych. Mieszcząca się w Reykjaviku firma Gramm zebrała nagrania zespołów o bardzo dziwnie brzmiących nazwach: Purrkurr Pillnikk, HÖH, czy Mickey Dean And The Vunderfoolz. Jedynym znanym zespołem jest w tym zestawieniu Kuki. Okazuje się, że również w krainie gejzerów grają zakręconego rocka.

I AM A WALLET
McCarthy (September Rec.).



Debiutancki album następców The Smiths, jak brytyjska prasa nazwała zespół McCarthy. 14 utworów i zaledwie 30 minut muzyki. Akustyczne brzmienie, ale w zupełnie nowym wydaniu. Ten zespół może zrobić sporą karierę.

MOSAIC 44
Loch Ness Monster (Hamster Rec.).



Zwariowana wytwórnia i zwariowany zespół. Gra muzykę do tańca, będącą połączeniem disco i elektronicznej awangardy. W tym całym bałaganie jest jednak sens, tym bardziej że grupą zawiadują takie nazwiska jak Steven Plessiosaur czy Nils Phiamethrowar (kto chce to wymówić, niech spróbuje).

Inne albumy:

***Live In Yugoslavia* – Angelic Upstarts (Razor), *Is This The End* – Avo–8 (Fast Forward), *White–Out Conditions* – Bel Canto (Crammed Discs), *Nowhere Girl* – Movie (Wax), *Hairway To Steven* – Butthole Surfers (Blast First), *A Little Man And A House And A Whole World Window* – Cardiacs (Plastic), *Untitled* – Ciccone Youth (Blast First), *The Only Good Punk Is A Dead One* – Electro Hippies (Peaceville), *Frenz Expertiment* – Fall (Beggars Banquet), *The Most Careful* – 4 000 000 Telephones (Summerhouse), *Rough Edges* – The Guana Batz (ID), *Pinker And Prouder Than Previous* – Nick Lowe (Demon), *Sharks* – Mighty Mighty (Chapter 22), *40 Miles From Nowhere* – Naked Pray (Zippo), *It Seems* – Colin Newman (Crammed Discs), *Unleashed* – Psyche (For All And Ivone), *A Facture In Time* – Screaming Trees (Nativa), *Outside The Warehouse* – Sham 69 (Legacy), *Fear And Desire* – Siglo XX (P.I.A.S.), *Holden Interview* – Tactics (Red Flame), *Six Land Ends* – Yeah Jazz (Cherry Red.).(pm)**

LEGENDA WAILERSÓW

The Wailers. Jedni tłumaczą jako „zawodzący na pogrzebowych ceremoniach, pełniący rolę płaczek, śpiewacy". Inni mówią krótko: „wyjce". Pierwszy zespół Boba Marleya, założony z pomocą Joe Higgsa w roku 1964, nazywał się „Wailing Wailers". Był to kwintet wokalny, w którego skład wchodzili: Junior Braithwaite, Peter McIntosh (Tosh), Bunny Livingston (Wailer), Beverley Kelso, oraz Bob Marley. Bunny Livingston i Peter McIntosh grali również na instrumentach (piano i perkusyjne), lecz nie mieli wystarczającej ilości pieniędzy, aby kupić sobie wyposażenie sceniczne i aparaturę. Gdy Wailing Wailers przybyli do studia Clementa Dodda, który w tamtych czasach miał dwie własne firmy wydawniczo-fonograficzne (Sir Coxone i Studio One), musieli korzystać z pomocy muzyków sesyjnych oraz ich aparatury. Urzeczywistniona w ten sposób sesja nagraniowa musiała przynieść dobre nagrania; pierwszy kawałek, zrobiony w studiu Clementa Dodda, *Simmer Down*, a firmowany przez grupę Wailing Wailers, szybko trafił na jamajską listę przebojów. Podobnie stało się z kolejnymi nagraniami realizowanymi dla Dodda: *Put It On*, *Ten Commandments* oraz *Love And Affection*. Specjalnym uznaniem cieszył się też utwór *Ruede Boy*, który gloryfikował zdesperowanych chuliganów i uliczników, dzikich i swobodnych na ulicach slumsów Kingston. Utwory te, znane dziś z licznych reedycji, bootlegów, oraz mniej lub bardziej piracko wydawanych składanek, przez wielu piszących historię życia i kariery Boba Marleya uznawane są za pierwsze w jego fonograficznym dorobku. Prawdziwy debiut miał jednak miejsce trzy lata wcześniej. Marley rozpoczął swą artystyczną działalność jako młody chłopak – mając 16 lat nagrał pierwszego singla w studiu Kena Khourisa w Kingston. Utwór zatytułowany był *Judge Not?* i nie załapał się wówczas na żadną z list, gdyż w tamtych czasach nie słuchało się takiej muzyki. Rok później Marley, wówczas 17-letni, spróbował jeszcze raz. Tym razem był to jego własny sposób podejścia i interpretacji znanego podówczas przeboju Brooka Bentona, *One More Cup Of Coffe*. Ten wysiłek stał się swego rodzaju uwierzytelnieniem propozycji artystycznej Boba: Marley został przedstawiony przez Jimmy'ego Cliffa (który już wówczas miał ustabilizowaną pozycję na muzycznym rynku) producentowi i szefowi firmy Beverly Records, Leslie'emu Kongowi. Ten nie pytał go o pochodzenie ani o artystyczny rodowód, gdyż stało się jasne, że oto zapoczątkowana została droga, na której nie było dotąd poprzedników. W tę drogę Bob Marley zabrał ze sobą swój zespół Wailing Wailers. W tamtym czasie bardzo duży wpływ na twórczość zespołu miała amerykańska grupa wokalna The Drifters. To oznaczało, że Marley zaczął przykładać dużą wagę do swoich możliwości wokalnych. Trzydzieści singli nagranych dla Leslie'ego Konga mogłoby oznaczać niewielkie zabezpieczenie, szczególnie na Północnych Karaibach. Lecz przemysł płytowy na Jamajce nie był ustabilizowany. Dlatego wybicie się poza wyspę miało szczególne znaczenie i było jedyną sensowną perspektywą. Młode kapele sprzedawały swój talent i muzyczne dusze, lecz dla nikogo nie miało to żadnej wartości. Nikt nie próbował im w jakikolwiek sposób pomagać.



W roku 1968 The Wailers pozbyli się przedrostka/przymiotnika w swej nazwie, oraz producenta. Nie mieli wystarczającej ilości pieniędzy, by utrzymać się jako pięcioosobowy zespół. Beverley Kelso opuściła grupę, której, jak pisali krytycy, naprawdę nie przynosiła chwały. Marley, wraz z Matką, wyjechał do Stanów Zjednoczonych, gdzie z trudem wiązał koniec z końcem żyjąc w Wilmington, w stanie Delaware. Lecz Ameryka nie stanowiła bezpiecznej przystani. Zagrożony poborem do wojska i wysłaniem na wojnę do Wietnamu, Bob Marley wrócił na wyspę. Spotkawszy Bunny'ego Livingstona i Petera Tosha, jeszcze w tym samym roku założył wraz z nimi grupę Wailing Souls (wiele lat później nazwę tę przejęła inna grupa wokalna). Jako trio postanowili zdobywać listy przebojów. A czasy nie były wtedy zbyt łatwe. Ich twórczość wyrastała wówczas ponad przeciętność, lecz des-jay'e nie chcieli tego przyjąć do wiadomości. W muzyce jamajskiej tamtych czasów sukces jednego nagrania nie oznaczał automatycznie powodzenia kolejnej realizacji. Grupa Wailing Souls miała więc krótki żywot. Dokonała go ostatecznie, gdy Bunny został zaskoczony przez policjanta podczas radosnego obcowania ze spliffem: na rok musiał rozstać się z przyjaciółmi.

Trochę później, lecz jeszcze tego samego roku, odwiedził Jamajkę Johnny Nash, znany już w Stanach śpiewak i kompozytor wielu przebojów. Nie ukrywał, że przybył na wyspę w poszukiwaniu jakiegoś nowego talentu. Zobaczył Marleya w miejscowym show telewizyjnym i podpisał z nim kontrakt dla własnej firmy JAD. Nagrali razem album, lecz, zgodnie chyba z tradycją początkowych dokonań Marleya, przeszedł on niezauważony. Ze wspólnej sesji nagraniowej z Nashem zachował się tylko jeden singel – *Bend Down Low*. Po latach okazało się jednak, że menażer Johnny'ego Nasha, Joe Veneri, zachował w archiwum oryginalne taśmy z nagraniami Boba Marleya. Sprzedane firmie WEA International stanowiły materiał dźwiękowy płyty *Chances Are*. Nowy remix, dograne chórki, wzbogacone aranżacje i unowocześnione brzmienie – wszystko to sprawiło, że płytę *Chances Are* sprzedawano jako pierwszy pośmiertny album Boba Marleya. I choć wielu krytyków przyznawało, że album ten należałoby oceniać raczej w kategoriach etycznych niż artystycznych, to jednak wielu zwolenników przesłania reggae artykułowanego przez Marleya uległo sugestii krzykliwej reklamy i włączyło go do swych kolekcji. Proces, który wytoczyli firmie WEA International, Chris Blackwell i Rita Marley, przyczynił się tylko do większej sławy tego pirackiego wydania. Każdy chciał mieć płytę, zapominając o tym, co mówił Marley w jednym z wywiadów, udzielonych Stephenowi Davisowi: *Wszyscy Wailersi nagrywają tutaj, na Jamajce, lecz ich nagrania są wykradane – wszystkie muzyczne firmy rabują, tak, wszyscy ci, którzy mają do czynienia z muzyką Indii Zachodnich – to złodzieje.* W roku 1985 jeszcze raz ujawnił się profetyzm tych słów. Lecz tym razem płyta, którą wydał Joe Veneri, sygnując ją przy tym własnym nazwiskiem jako producent i wydawca, przeszła już bez tak wielkiego echa: zawierająca stare ścieżki dźwiękowe, remixowane w konwencji disco przy udziale włoskich muzyków sesyjnych, przemknęła niezauważalnie przez muzyczny rynek.

Wróćmy jednak na Jamajkę, razem z Bobem, który odbywszy podróż po Europie w roku 1969, znów postanowił połączyć się z pozostałymi Wailersami, Peterem i Bunnym. Znalazłszy nowego producenta, Lee Perry'ego znanego też jako Scratch, rozpoczęli pracę pod szyldem Upsetter. Był to okres najbardziej chyba żywotny w rozwoju Wailersów. Ukazały się wówczas utwory, zaliczane dziś do klasyki ich dorobku: *Soul Rebel*, *Duppy Conqueror*, *Small Axe*, a także dwa albumy: *Soul Rebel* i *Soul Revolution*. Na okładce płyty *Soul Revolution* zespół przedstawiony został w militarnym ekwipunku. Jamajskie listy przebojów przywitały grupę, lecz rynek brytyjski i amerykański wciąż pozostawał zamknięty. Ten rodzaj scenicznego image'u, który wystarczał do podboju wyspy, w szerszym świecie nie znajdował wówczas uznania. Wailersi musieli poszukać innego rodzaju uzbrojenia, i znaleźli je, przesuwając akcent ze słów „Rebel" i „Revolution" na słowo „Soul".

SŁAWOMIR GOŁASZEWSKI

RAZEM

Chociaż Słoma odżegnuje się od nazywania go liderem czy kierownikiem grupy, niemniej przystępując do publicznych działań, przez ponad rok nie zdołał się ustrzec od tego, że opatrywano je nazwą Orkiestra Słomy. Tak nazywany był ten zespół podczas występów na Grandfestiwalu Róbrege w roku 1986, pod tą nazwą dał się poznać uczestnikom Spotkań Muzyków Rockowych w Jarocinie. Później grupa zmieniła nazwę na Orkiestra Razem. W roku ubiegłym część osób pracujących z Orkiestrą Razem przeniosła się do Warszawy i znalazła schronienie w Klubie na Goldoniego. Nie zaprzestano jednak wzajemnych kontaktów: na Goldoniego powstawały piosenki z tekstami przywożonymi ze wsi i ta część przedsięwzięcia opatrzona została tytułem Na Zdrowie. Pod koniec ubiegłego roku w Klubie na Goldoniego oraz w Klubie Osiedlowym „Helios" odbyło się Święto Muzyki Naturalnej celebrowane wspólnie przez Orkiestrę Razem (ze wsi Dąbrówka-Łęka k. Lublina) i Na Zdrowie (z Warszawy).

Oprócz działalności publicznej, w kręgu Razem – Na Zdrowie prowadzone są warsztaty bębniarskie oraz praktyki sprzyjające wzajemnemu porozumieniu. W tym roku grupa przystępuje do kolejnego etapu działań publicznych. Okres wstępny ma już za sobą, dlatego też pozwoliliśmy sobie na podsumowanie go; uczynił to Słoma w następujących słowach.

Pięknie się dzieje, że tak wielu z nas gra muzykę, że słychać wciąż nowe zespoły i czuć wielkie zainteresowanie tą formą aktywności. Choć widzę, że duża część motywacji tych, co stoją na podwyższeniach i wypuszczają dźwięki, wyraża zagubienie. To trudna sprawa – wytrzymać lawinę słabości i trwać w poszukiwaniach.

Sam słucham różnej muzyki, nagrywanej przez różnych ludzi na świecie i mam poczucie kontaktu z osobami, które tę muzykę tworzą, z osobowościami, które przez nią się wypowiadają.

Tworzenie i śpiewanie pieśni i granie muzyki pomaga mi współistnieć ze wszystkim i ze wszystkimi ludźmi na ziemi. I to co mam do powiedzenia, zawiera się w pieśniach wciąż rodzących się między nami. To właśnie są nasze propozycje składane wszystkiemu, co nas otacza. Oto odpowiedzi na pytania stawiane przez otaczający mnie świat. I nie myślę tu tylko o nastolatkach zasłuchanych w radio czy o wąskim gronie, stanowiącym publiczność koncertów, w jakich zdarza się nam brać udział. Myślę teraz o świecie jakim jest: o mojej matce, o moich najbliższych sąsiadach i o ludziach, których istnienia nawet nie podejrzewam. Widzę też głęboki sens w odbywaniu publicznych spotkań. Właśnie spotkań a nie koncertów. Z doświadczenia wiem, że najlepszy czas sprzyjający koncentracji, wyzwalający wolę świętowania, najlepsza okoliczność, wyzwalająca moc, jest ściśle związana z fazami nieustannego ruchu Ziemi wokół Słońca. Wyrażam zainteresowanie spotkaniami z publicznością i przyjaciółmi, gdzieś poza naszym domem, w dni sąsiadujące z czterema podstawowymi przesileniami astronomicznymi: wiosną, latem, jesienią i zimą.

Swego czasu grałem wiele koncertów z zespołem Osjan. Ta aktywność stała się źródłem moich doświadczeń kontaktu z publicznością. Z dużą radością przyjąłem zaproszenie Jacka Ostaszewskiego do współpracy z Osjanem. Od razu zdałem sobie sprawę z tego, że jest to prawdziwy Uniwersytet, na którym mogę nauczyć się wszystkiego, co niezbędne, by zacząć prowadzić samodzielną działalność. Dowiedzieć się, jak płynie czas w spotkaniach z publicznością, jakimi kanałami płynie energia i co stawia na nogi siedzących w miękkich fotelach młodziaków. Miałem też okazję zetknąć się ponownie z, moim zdaniem rewelacyjną, metodą prowadzenia warsztatów, otwierającą świat muzyki przed wszystkimi zainteresowanymi.

Na pewno jeszcze nieraz będziemy działać razem, ale moje miejsce jest przy rodzinie. Pragnę działać z tymi, z którymi dzielę trudy życia codziennego, na miarę naszych możliwości. Pragnę uniknąć znalezienia się w nieprawdziwych, wymyślonych przez kogoś układach. Moje miejsce jest w pracowni, przy pracy nad nowymi instrumentami, gdyż tą drogą zdobywam środki na utrzymanie rodziny. I najlepsze grania spotykam pomiędzy członkami naszej orkiestry, po wielu godzinach spędzonych tutaj razem, a nie po dwudziestu minutach „koncertu".

Inspiracja dla mojego codziennego życia w znacznej mierze pochodzi z Jamajki, z tego, co dociera do nas jako ślad działalności Rastamanów. Charakter medytacyjny ich muzyki, łagodność i sugestie, które (ponad wszystkimi regionalnymi sprawami) docierają do nas z nagrań, tak chętnie przez nas słuchanych, miejsce jakie oni zajmują wobec świata i Ducha, to wyraźnie promieniujące z ich pieśni nauki, lekcje, jakie tu otrzymujemy. Ale ja, Słoma, Rastamanem nie jestem, nie znam znaczenia słowa „rasta". A wobec Rastamanów czuję, że pochodzę z rodziny tych bandytów, którzy porywali całymi plemionami ich rodziny z Afryki i przewozili je do Ameryki i Indii Zachodnich. Jestem wychowany w kulturze, która jest odpowiedzialna za wymordowanie Indian w Ameryce, która w efekcie swej ekspansywności wymordowała wiele przeróżnych kultur na ziemi.

Współtworzenie muzyki może być praktyką pomagającą w znalezieniu swojego miejsca w życiu. Mnie bardzo pomaga w życiu codziennym granie muzyki. Długie grania i piękna, spokojna praca – oto co trzyma mnie tu, gdzie jestem. Ale nie znaczy to, że chcę, aby wszyscy ludzie na ziemi szli ze mną przez uderzanie w bębny, żeby wszyscy spędzali czas na graniu muzyki. Chodzi o to, że każdy może robić to co chce, to co najbardziej cieszy, i ma to głęboki sens.

Widzisz, dałem się wciągnąć w formułowanie wypowiedzi, wiedząc, że może być ona wydrukowana, choć od wielu lat nie czytam prasy i tak zwanej literatury. Dałem się też wciągnąć w zrobienie filmu, choć od wielu lat w ogóle nie oglądam filmów. Ale zrozum mnie: jestem zmęczony uczestniczeniem w przywoływanych z „wyobraźni" i odrzebywanych w pamięci dramatach, wynikających z powszechnych ludzkich słabości. Powiedz sam, jaki film lub jaką książkę poleciłbyś swojemu synowi, z przekonaniem, że zetknięcie z tym dziełem będzie przykładem, na którym zalecałbyś mu opierać się w jego przyszłym życiu. Poradź też i mnie taką książkę lub taki film, w którym nikt nikogo nie okłamuje, gdzie nikt nikogo nie bije, nikt nikogo nie zabija i nikt nikomu niczego obsesyjnie nie zazdrości. Jakieś dzieło sztuki dające przykład pozytywnego współistnienia.

Każdy z nas jest sam na sam ze swoimi słabościami i ze swoją mocą i często trzeba dużego wysiłku, aby nie tracić kontaktu z dobrą wolą. Rozpraszanie się na uczestniczenie w opisanych lub pokazywanych dramatach tego świata, choćby nie wiem jak pięknie przedstawionych, moim zdaniem, nie ma sensu.

Wysłuchał
SŁAWOMIR GOŁASZEWSKI





Opierając się na wynikach głosowania krytyków muzycznych na najlepsze polskie płyty rockowe, ogłoszonych w „MM", ubiegły rok należałoby uznać za najlepszy w historii rodzimego mocnego uderzenia. Byłaby to jednak radość pozorna. Nie zamierzam biadolić nad tym, że ludzie nie chcą chodzić na koncerty, że nie chcą głosować na dotychczas szalenie popularną listę przebojów „Trójki", że drastycznie spadły nakłady płyt, a prawdopodobnie to samo będzie z nakładami gazet muzycznych, bo to wszystko da się wytłumaczyć przyczynami ekonomicznymi. Mnie zaczynają zadziwiać i przerażać inne zjawiska, których przedstawienie zacznę od ukazania absurdalnej sytuacji w naszym przemyśle fonograficznym. Nie mam zamiaru zajmować się sprawami znajdującymi się poza możliwościami samych wytwórców lecz tymi, które powinny być oczywiste dla ludzi parających się show businessem.

W każdej z działających u nas wytwórni płyt istnieją komórki zajmujące się reklamą i dystrybucją. Żadna z nich nie robi dokładnie nic lub nie ma możliwości robienia niczego, co by uzasadniało ich egzystencję. W krajach, gdzie ludzie kierują się zdrowym rozsądkiem jest nie do pomyślenia, by nie łożyć na reklamę wchodzącego na rynek tytułu, a tym bardziej produktu, który zyskał uznanie. Minęły u nas czasy, kiedy sprzedawano cały nakład każdej płyty rockowej, a jedynym ograniczeniem w pomnażaniu zysków były moce przerobowe maszyn. Obecnie na rynku, na którym jest śmieszna „konkurencja", nie nastąpiło załamanie koniunktury, lecz załamanie myślenia. Nie ma reklam prasowych, radiowych, telewizyjnych, brak plakatów i koncertów promocyjnych wspieranych przez wytwórnie płytowe. O anonsowaniu dokładnej daty ukazania się danej płyty nikt nie myśli, gdyż firmy nie są w stanie zagwarantować terminów. Lista gratisów płytowych dla dziennikarzy została ustalona kilka lat temu i teraz głupio jest komuś odebrać podarunki, a ograniczenia rozdzielnika nie pozwalają przyznać ich dodatkowo innym. Ci, którzy już otrzymają nowy album, na próżno będą szukać w nim informacji o wykonawcy, a tym bardziej zdjęcia zdatnego do druku.

Telewizja Polska zaniechała produkcji teledysków ze względu na ich wysokie koszty. I to jedynie należy uznać za przejaw zdrowego rozsądku. Nie, nie uważam, że wideoclipy są czymś bezsensownym, wręcz przeciwnie – jest to obecnie najlepsza forma reklamy płyt, tylko na całym świecie ich finansowaniem zajmują się firmy fonograficzne. Za pionierskie należy uznać reklamowanie na łamach „Non Stopu" produktów Tonpressu. No i co? Na jesieni ukazało się ogłoszenie anonsujące pojawienie się w sprzedaży albumu Obywatela G.C. i dwóch pilotujących go singli. Do połowy marca nikt nie widział w sklepach małych płytek (na dużą można trafić przy odrobinie szczęścia). Nic to w porównaniu z dokonaniami Pronitu. Jego produktów po prostu w Warszawie nie można dostać. Sam chętnie kupiłbym *Sno-powiązałkę*.

W ostatnim czasie pojawia się coraz więcej wydawnictw licencyjnych, co należy uznać za niewątpliwy sukces. W Tonpressie szybko przekalkulowano, że zdecydowanie bardziej opłaca się wydawać płyty zagraniczne, gdyż wypada to taniej w porównaniu z kosztami nagrania polskiego wykonawcy. Bez wkładu dewizowego firma ta uzyskała licencje na albumy wykonawców związanych z niezależnymi wytwórniami. Należy tylko przyklasnąć, gdy pojawiają się płyty Depeche Mode, New Order, Joy Division, Johnny Wintera. Tylko czy nie zorientowany i nie doinformowany klient, który przypadkiem nabył szwedzko-finlandzko-holenderski chłam (te pozycje Tonpress otrzymuje chyba w darach od wrogich nam ośrodków), zdecyduje się następnym razem na kupno jednej z zapowiadanych płyt The Smiths? Na koniec prawdziwa perełka. Jeden z dyrektorów artystycznych pewnej wytwórni płytowej zabronił reklamowania przygotowywanych do wydania płyt, gdyż obawia się, że jego szefowie pomyślą, że planowane wydawnictwa są kiepskie i trzeba je wspomagać reklamą! Nasi spece od show businessu swoje porażki tłumaczą nagłym spadkiem zainteresowania muzyką rockową. Uwierzę im, jeśli pokażą mi choć jeden sklep w naszym kraju, w którym można kupić każdy album wydany w ostatnim pięcioleciu, Ba, nie ma wielu tytułów sprzed pół roku. Drodzy Panowie – to nie ja, wasz klient, mam szukać płyt, tylko one mnie!

W krajach zdrowego rozsądku wiadomo, że podstawą tego biznesu jest PŁYTA. Wszystkie kroki reklamowe, łącznie z koncertami, podporządkowane są jednemu celowi – jak największej sprzedaży tego plastikowego krążka, kaset i płyt CD. Ze sprzedaży longplayów żyje cały łańcuch ludzi interesu i przede wszystkim sami wykonawcy. Każdy chylił czoło przed szczytnymi ideałami pamiętnego „Live Aid", lecz dzięki wielkiemu publicity, jakie zyskała ta impreza, przez następne pół roku na listach najlepiej sprzedawanych płyt królowali wykonawcy, którzy dla zaszczytnego celu zrzekli się honorariów; U2 w tym czasie mieli w pierwszej pięćdziesiątce listy przebojów wszystkie swoje albumy! A u nas?

Nie, nie mam zamiaru rozwodzić się nad największym skandalem ubiegłego roku – trasą „Stanie się cud". Wybrałem „Perfect Day", który bronił się artystycznie i, co rzadko spotykane, organizacyjnie. Mimo to postawię pytanie: po co była robiona ta impreza? By udowodnić, że możemy zrobić wielki, rockowy spektakl dla wielotysięcznej widowni? Tak, potrafimy – tylko po podliczeniu okazało się, że impreza przyniosła kilka milionów strat. Przedsięwzięcie to przez miesiąc, bezpłatnie, przyciągało uwagę środków masowego przekazu, a o zrobieniu przy tym interesu zapomniały przynajmniej trzy firmy. Oczywiście ani na koronie Stadionu Dziesięciolecia, ani w żadnym ze sklepów nie było zapowiadanego albumu *Perfect Live vol. 1* (Pronit). Choć sam już widziałem tę płytę, to dotychczas nie trafiła ona do warszawskich sklepów. No dobrze, świeża sprawa, coś nie wyszło, ale niech mi ktoś wytłumaczy: dlaczego we wrześniu sklepy stolicy nie były zarzucone wcześniej wydanymi przez Polskie Nagrania i Tonpress albumami Perfectu? Nikt nie chciał zarobić na okazji łatwego sprzedania tysięcy płyt, nikt nie umiał tego zrobić, czy raczej znów usłyszymy o kryzysie rocka w Polsce?

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

ABSURDOROLLA

SABOTAŻ



fonografii wiemy, że leży. Z jednej strony park maszynowy – zarówno tłoczni, jak i studiów nagraniowych – jest przestarzały, a z drugiej granulat (który podobno eksportujemy) nie spełnia pokładanych w nim nadziei. Wiemy, że artyści stawiają wygórowane wymagania, a handel nie kwapi się do sprzedaży płyt i kaset; że nie mamy sprzętu odtwarzającego, co i tak by nic nie zmieniło, bo ludzie po prostu nie lubią artystów – nie kupują, więc nie lubią. Proste, prawda?

Mając wszystkie te informacje, a także obywatelską świadomość, że wobec ogólnych trudności nic nie da się tu zrobić, ze spokojnym sumieniem udajemy się do z góry upatrzonych zajęć. Nie przeszkadza nam fakt, że fonografia w całym cywilizowanym świecie jest jedną z bardziej dochodowych dziedzin przemysłu; że płyty są jednym z najpopularniejszych nośników kultury.

I wszystko byłoby w najlepszym porządku gdyby nie to, że wobec ewidentnej bzdury, niekompetencji czy absurdu człowiek reaguje w sposób daleki od przyjaznego. W taki właśnie sposób zareagowałem przed kilkoma dniami za sprawą obszernej, 14-stronicowej xero-broszury pt. *Zapowiedzi nowych nagrań, Nr 10/580.* Wydawcą tej niezwykłej publikacji jest Składnica Księgarska, będąca praktycznie monopolistą w dziedzinie dystrybucji płyt i kaset, a w związku z tym decydująca o wysokości nakładów poszczególnych wydawnictw fonograficznych i o tym, co się u nas wydaje. Ciekawostką ilustrującą jej elastyczność jest fakt, że posiada nadal 17 oddziałów terenowych, podczas gdy od wielu lat mamy w Polsce 49 województw.

Jak przystało na doświadczoną i potężną firmę, Składnica Księgarska posiada sprawdzony w boju system sondowania rynku, który polega na dwustopniowym badaniu handlowej przydatności oferowanego towaru. Pierwszym są organizowane raz na kwartał tzw. przesłuchania, w którym udział biorą przedstawiciele wszystkich 17 oddziałów terenowych. Na przesłuchaniach wytwórnie fonograficzne, „robią co mogą", by zachęcić potencjalnego nabywcę – odtwarzają fragmenty przygotowywanych płyt, dorzucając czasem kilka słów informacji. Zdarza się, że zgromadzone gremium obdarowane zostanie plakatem lub znaczkiem, które przedstawiciele wydawców wycyganiają od zainteresowanych wykonawców. Zachęceni tym prostym sposobem nabywcy – nie trzeba tu dodawać, że reprezentantami poszczególnych oddziałów są z reguły osoby zupełnie przypadkowe – składają wstępne zamówienia. Mimo że wymagają one jeszcze pisemnego potwierdzenia, raczej rzadko zdarza się, by „wyrok", jaki zapadł podczas przesłuchań, uległ jakiejś zdecydowanej zmianie. Na tym kończy się pierwszy etap – wydawcy mniej więcej wiedzą, na jaką sprzedaż mogą liczyć.

Drugim, raczej formalnym już etapem sondażu rynku jest rozesłanie do wszystkich placówek handlowych wspomnianej na wstępie broszury. Napisałem, że czynność ta jest formalnością, do czego upoważnia mnie zamieszczone na końcu broszury zdanie: *z uwagi na ograniczone w szeregu przypadkach nakłady oferowanych pozycji zastrzegamy sobie prawo ewentualnej korekty in minus otrzymanych zamówień.* Oznacza to, że sprzedawca mający bezpośredni kontakt z klientem, a więc teoretycznie najlepiej orientujący się w popycie na dany tytuł, nie ma gwarancji, iż otrzyma taką ilość płyt jaką zamówił. Innymi słowy, jego głos nie ma większego znaczenia, ponieważ decyzje i tak już zapadły. Myślę, że tłumaczy to coraz częstsze utyskiwania melomanów, że anonsowanych płyt na rynku po prostu nie ma.

Gwoli sprawiedliwości dodajmy, że częściową winę ponoszą również sami wydawcy, którzy w oparciu o wstępne zamówienia powiększone o uznaniowy margines tolerancji in plus – niewielki, ale dobre i to – zamawiają okładki, których ilość summa summarum limituje ostateczny nakład płyty.

Być może naszkicowany powyżej system spełniałby swoje zadanie, gdyby nasi handlowcy nie zapomnieli, że nieodłącznym elementem każdego interesu jest świadome ryzyko. No tak, ale u nas nikt – no może poza prywaciarzami, z którymi Składnica Księgarska niechętnie handluje – nie ryzykuje, bo i po co. System ten ma jeszcze jedną, za to bardzo poważną wadę, a mianowicie uniemożliwia szybkie reagowanie na fanaberie rynku. Żeby się o tym przekonać, wystarczy zajrzeć do zestawień publikowanych przez „Przegląd Tygodniowy". Pomijając ogromną niedoskonałość takiej listy bestsellerów, rzuca się w oczy jej niepowtarzalność. Jeżeli w danym miesiącu jakiś tytuł pójdzie jak przysłowiowe ciepłe bułeczki, to można mieć gwarancję, że w następnym i kolejnych zestawieniach już go nie zobaczysz. Nie oznacza to oczywiście, że rynek został nasycony. Oznacza to natomiast, że mimo nadspodziewanego popytu, brakującego towaru nie dowieźli. Smutne to ale prawdziwe, szczególnie że istota handlu polega między innymi na szybkim reagowaniu na zapotrzebowanie rynku. Jest to tym bardziej szokujące, że wiele tytułów znajdujących się na tym polskim „Top Ten" opatrzonych jest adnotacją: cały nakład sprzedano w ciągu 7 dni!

Bodźcem, który skłonił mnie do napisania niniejszego tekstu była broszura pt. *Zapowiedzi nowych nagrań.* Zapomnijmy, że zawarte w niej informacje i tak nie mają wpływu na wysokość zamówień i spróbujmy zastanowić się, w jakim stopniu spełnia ona zadania informacyjno-reklamowe. Żeby nie było żadnych wątpliwości, oświadczam, że znam realia i określone trudności, nie wymagam więc wielobarwnych katalogów, jakimi posługują się dystrybutorzy z CBS czy choćby Supraphonu. Znam je również na tyle, by nie mieć wątpliwości, że gros księgarzy nie ma zielonego pojęcia o muzyce i traktuje płyty jak, nie przymierzając, kukułcze jajo.

Wspomniana broszura liczy 14 stron bitego maszynopisu, z czego niestety nic nie wynika. Nie ma w niej bowiem żadnej informacji na temat muzyki, wykonawcy, jego aktualnych notowaniach na rynku itd. Jest to po prostu sucha wyliczanka, w której Jan Sebastian Bach sąsiaduje z grupą Stan d'Art, bajka *O głupim Tomku, wilku i niedźwiedziu* z Adamem Zwierzem, Wolfgang Amadeusz Mozart z Vicki Benckert, a Ferenc Liszt z Krystyną Giżowską. Przypomina to kakofoniczny groch z kapustą, który zagęszczają zamieszczone w broszurze informacje. Komu to potrzebne? No bo na cóż, u licha, potencjalnie zainteresowanemu sprzedawcy nazwiska kompozytorów czy autorów tekstów; na cóż informacje typu: *H. Gembalski – v (3 solo).* Kogo obchodzi skład zespołu czy też to, że w nagraniu gościnnie wystąpił *J. Lindgren (Szwecja)*, lub że licencja pochodzi z *Seychelles Music, Walther Kahl (RFN).* Są to informacje, które od biedy mogą zainteresować fachowca, a nie Bogu ducha winnego sprzedawcę książek, przepraszam płyt.

Napisałem, że w broszurce brak informacji o muzyce, wykonawcach, ich notowaniach na rynku i skłamałem, ale nie bardzo. Po prostu, przy kilku z kilkudziesięciu proponowanych tytułów wypatrzyłem (!) jednozdaniowe notki. Nie pozostaje mi więc nic innego, jak ze skruchą zakrzyknąć – Brawo Wifon! Brawo Poljazz! To przy ich wydawnictwach napisano cokolwiek.

I to by było na tyle, gdyby nie tytuł: „SABOTAŻ". W „Słowniku wyrazów obcych" czytamy: *SABOTAŻ – umyślne niewypełnianie albo wypełnianie w wadliwy sposób swoich obowiązków w zamiarze wywołania dezorganizacji, strat i szkód.* I teraz pytam, czy bezmyślność, niekompetencja i zwykłe lenistwo umysłowe nie jest, w myśl słownikowego rozumienia hasła, zwykłym sabotażem? Czy nie jest sabotażystą handlowiec, który nie próbuje handlować, choć może? Czyż nie jest nim dystrybutor, którego monopolistyczna działalność powoduje katastrofalne zaniżenie nakładów płyt i kaset, a co za tym idzie, działający na szkodę kultury narodowej?

Bo muzyka, nawet ta niepoważna, jest elementem kultury!

MARCIN JACOBSON

JACEK DYLĄG – gitara



Jednym z lepiej przyjętych zespołów przez publiczność ubiegłorocznego festiwalu w Jarocinie byli Chłopcy z Placu Broni. Grają bezpretensjonalną muzykę rock'n'rollową, ich koncerty to radosne spotkania lekkodusznej młodzieży, ich piosenki zdobywają ostatnio wysokie lokaty na krajowych listach przebojów. Na 40 – czasami mądrych, czasami mniej – pytań odpowiada lider grupy – BOGDAN ŁYSZKIEWICZ.

BOGDAN ŁYSZKIEWICZ – wokal



ROBERT ŚWIATEK – gitara basowa



JAREK KISIŃSKI – gitara

Zdjęcia: WOJCIECH JASZCZUK

1. Imię i nazwisko, wiek.

– Bogdan Łyszkiewicz, urodzony 3 IX 1964 r.

2. Cechy charakteru.

– Nie umiem nic o sobie powiedzieć, to kłopot. Myślę, że jestem uczciwy, dobry jestem (ale tego nie byłbym do końca pewien, być może tylko mi wydaje się tak). Więcej o sobie nie umiem powiedzieć.

3. Przeszłość w skrócie.

– Skończyłem szkoły: podstawową, średnią i średnią muzyczną – w klasie klarnetu. Obecnie jestem żakiem kieleckim, ale od dwóch lat na urlopie.

4. Nazwa zespołu, data powstania, krótka historia.

– Chłopcy z Placu Broni, marzec 87. Jest to pierwsza kapela w moim życiu, nigdy nie miałem z rockiem do czynienia jako muzyk. Zawsze grałem tylko muzykę klasyczną – Mozarta i Kolegów. W listopadzie 86 napisałem utwór „Słońce – gdy jadę szosą". Po sukcesie wśród znajomych, zacząłem grać ze świetnym gitarzystą Mateuszem Jaroszem. Marzec – mówiłem, później były dwa koncerty „u nas" w NCK-u, Jarocin, bardzo fajna audycja

– „Tradycyjnie". Na pierwszej stronie zespół w trakcie pracy – na przykład w sali prób. Gdzieś wokół wzmacniacze, skrzynki, sprzęt, coca-cola. Atmosfera pracy! Na drugiej stronie – koniecznie notka o zespole i koniecznie przez zespół napisana.

23. Stosunek do punk-rocka.

– No niby lubię, ale tak naprawdę to te utwory zbliżone bardziej do rock'n'rolla.

24. Stosunek do muzyki pop.

– Kocham pop. Kocham muzykę. Tylko musi to być na odpowiednim poziomie.

25. Stosunek do heavy metalu.

– Jedynym zespołem, który lubię jest AC, piorun, DC. Tylko tak napisz, że



WOJTEK NAMACZYŃSKI – perkusja

CHŁOPIEC Z PLACU BRONI

w telewizji, sesja nagraniowa dla „Harcerzy", obecnie wywiad dla „MM", a w planach tournée po USA.

5. Skład zespołu, kim są ci ludzie?

– O sobie zdążyłem wspomnieć, a poza tym Jarek Kisiński – zwany Kubusiem Puchatkiem gra na gitarze, Jacek Dyląg, też gitarzysta i też bardzo zdolny; poczciwy chłopina – Robert, którego pseudonim – Lumpuś tłumaczy wszystko i perkusista Wojtek Namaczyński, który jest ojcem dwojga dzieciąt.

6. Muzyka, której nigdy nie zagrasz. Dlaczego?

– Funkowa, disco. Wydaje mi się sztuczna, nie dociera do mnie, nie rozumiem jej. Chcę być szczery.

7. Ulubiony dzień tygodnia. Dlaczego?

– Czwartek. Bo urodziłem się w czwartek.

8. Ty rzucasz hasło, a ja je łapię.

– Miłość.

9. Ulubione danie. Dlaczego?

– Muszę się zastanowić... bitki... jak to się powinno mówić... befsztyk. Moja mama robi to najlepiej.

10. Jaka jest polska młodzież '88?

– W porządku ludzie, nie zawsze rozumieją muzykę, której słuchają, ale w gruncie rzeczy nie są zakłamani. Chodzą na koncerty, bo szukają czegoś dobrego, niekoniecznie dźwięków. I to jest ważne. Kocham ich.

11. Dla kogo chcesz grać?

– Chyba dla wszystkich ludzi, choć nie – jednak głównie dla młodych. I z punktu widzenia człowieka młodego.

12. Czego pragniesz jako muzyk?

– Chcę grać koncerty, które brzmieć będą jak nagrania studyjne. To jest marzenie. Niestety.

13. Ulubiony zespół lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych, osiemdziesiątych. Polski i zagraniczny.

– Sześćdziesiąte: z zagranicą nie ma najmniejszych wątpliwości – Beatlesi, w kraju – gdyby nie niektóre teksty – Czerwone Gitary. Lata siedemdziesiąte – w kraju nic, poza krajem Zeppelini, Eddie And The Hot Rocks, a w tej dekadzie? – tam: Cure (choć to też końcówka lat siedemdziesiątych) i Springsteen, a tu – Kobranocka, Bielizna, SPA i podobni.

14. Ty rzucasz hasło, a ja je łapię.

– Tak, wiedziałem, że teraz będzie hasło. Wierzę w szczęście.

15. Stosunek do używek.

– Kurczę, lubię używki niestety, bo lubię życie. Chcę jednak zachować umiar, co nie zawsze mi się udaje, głównie mam problemy z papierosami i herbatą.

16. Ulubiony film. Dlaczego?

– „A Hard Day's Night". No, nie pytaj mnie – dlaczego.

17. Czy są książki, program, gazety, które oglądasz lub przeglądasz tylko z przyzwyczajenia?

– Nie ma takich, do niedawna oglądałem filmy dla drugiej zmiany, ale zepsuł mi się telewizor.

18. Co warto zobaczyć w Krakowie?

– Kabaret w „Piwnicy Pod Baranami", a szczególnie posłuchać utworu „Dezyderata", bo są w nim mądre słowa o szczęściu.

19. Trzy miejsca na świecie, które musisz zobaczyć.

– Hamburg, Liverpool, Londyn. Ojej, zabrakło miejsca na Nowy Jork.

20. Ty rzucasz hasło, a ja je łapię.

– Ach znowu będę banalny – no więc to... życie jest piękne.

21. Gdzie piszesz teksty?

– Pomysły rodzą się wszędzie – w autobusie, w łóżku, w kawiarni. Spisuję je u siebie w mieszkaniu, w pozycji leżącej, gdyż nie mam biurka. Ale jak chodziłem do szkoły to miałem, żeby nie było wątpliwości.

22. Jak będzie wyglądała okładka dużej płyty?

piorun. Może być jeszcze Eddie Van Halen.

26. Co chcesz by myślano o tobie?

– Jestem zwyczajnym człowiekiem i najważniejsza dla mnie jest miłość. Dążę do dobra i szczęścia, lecz niestety życie jest życiem i święty nie jestem.

27. Najlepszy koncert.

– Nie jestem pewien, czy rozumiem pytanie.

28. Ty rzucasz hasło, a ja je łapię.

– Rok 1962, Hamburg.

29. Co sprawia ci przyjemność?

– Kilka rzeczy. Próby, udane próby, dobre koncerty, dobra muzyka, podróże, wykonywanie wolnego zawodu.

30. Książki życia.

– „Baśnie" Andersena, „Robinson Cruzoe", „Jesteśmy więźniami" Oskara Marii Grafa. Pożyczę ci ją, bo jest rewelacyjna. A „Chłopcy...", no wiesz głównie chodziło o nazwę.

31. Czego się boisz?

– Niczego się nie boję. Naprawdę niczego się nie boję. Ja naprawdę niczego się nie boję.

32. Czy jesteś dojrzały?

– Z dojrzałością jest tak jak z innymi ideałami. Do niej się dąży. Czasami jestem bliżej, czasami dalej...

33. Czy jesteś wierzący?

– Tak. Ale jak? Wiesz, to jest tak jak w tym pytaniu z miłością – nie jestem święty. Życie koryguje nasze zachowania, działania.

34. Co najbardziej zdziwiło cię w życiu?

– To, że nasz były saksofonista nie chciał grać utworu „Apokalipsa" ze względów etyczno-moralnych.

35. Co wywarło na tobie największe wrażenie w życiu?

– Znów będę się powtarzał. Popularna grupa brytyjska na literę b.

36. Jak powinien wyglądać dziennik w telewizji?

– Spiker powinien czytać normalnym tonem wiadomości, a obok niego niech siedzi ktoś, kto będzie się do nas uśmiechał.

37. Najlepsza płyta polska.

– Demarczyk, Anawa, a z obecnych... Mówiłem ci już jakie zespoły lubię, niestety na razie wyszła tylko płyta Szpala. Czekam na następne. I na swoją.

38. Chciałbyś wyglądać jak...

– ...jak prawdziwy rock'n'rollowiec.

39. Ty rzucasz hasło, a ja je łapię.

– Nie wiem dlaczego młodzież nosi podobną odzież.

40. Czego najbardziej nie lubisz?

– Kłamstw.

Ankietował PAWEŁ SITO

3 po 3

KONKURS

Tradycyjnie już zapraszamy do rozwiązania konkursu. Prosimy o odpowiedź na trzy pytania.

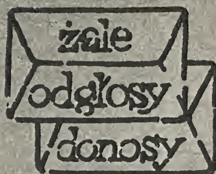
1. Podczas prób w Domu Kultury Fabryki Lokomotyw „Fablok" w Chrzanowie przygotowali program, który zapewnił im drugie miejsce w plebiscycie publiczności podczas FMR Jarocin '86. O kogo chodzi?
(a) Stan Zvezda
(b) Formacja Nieżywych Schabuf
(c) Sztywny Pal Azji

2. *Zespół musi się zmieniać. Nie można wciąż robić tego samego. Na pewno znajdą się ludzie, którzy powiedzą, że przed „Clutching At Straws" byliśmy świetni, a teraz... Trzeba jednak eksperymentować i iść do przodu, nawet jeśli się traci niektórych fanów* – wyznał w wywiadzie dla „MM" wokalista popularnej grupy. Której spośród trzech wymienionych?
(a) Ultravox
(b) Marillion
(c) Genesis

3. Jeden tylko zespół na świecie występuje z jednorecznym perkusistą. Prosimy wskazać właściwy.
(a) Def Leppard
(b) Iron Maiden
(c) Saxon

Na kartki pocztowe z rozwiązaniami oraz przyklejonym kuponem konkursowym czekamy przez dwa tygodnie od daty ukazania się pisma. Nasz adres: „Magazyn Muzyczny", ul. Kredytowa 5/7, 00-056 Warszawa. Rozwiązanie konkursu z numeru 3: pytanie 1(b), pytanie 2(c), pytanie 3(b). Nagrodę wylosował **Tomasz Wójcik**, ul. Lechnicka 9, 43-310 Bielsko Biała. Gratulujemy!

KUPON KONKURSOWY 5/1988
Pytanie 1: (a), (b), (c)
Pytanie 2: (a), (b), (c)
Pytanie 3: (a), (b), (c)
Zakreśl prawidłową odpowiedź i przyślij do redakcji



Szanowna Redakcjo!
Artykuł „AC/DC" Witolda Fedorczyka („MM/1") jest skromny i zubożały o dwie płyty: a mianowicie „Back In Black", wydaną po śmierci wokalisty Bona Scotta i przedostatnią „Flick Of The Switch". Nie wiem czy jest to spowodowane niewiedzą autora, czy też innymi czynnikami (chociażby poświęceniem jak najmniej miejsca temu, jakby nie mówić, pierwszemu prawdziwemu zespołowi, który zapoczątkował hard i heavy metal na świecie).

PIOTR „Heavy" PAWLAK
Warszawa

PS. Proszę o skoordynowanie tego z Panem Fedorczykiem i wniesienie pewnych poprawek do artykułu.

Red.: O wiele więcej miejsca poświęciliśmy AC/DC w numerze 9 „MM"z 1986 r., uwagi dyskograficzne są oczywiście słuszne i skoordynowaliśmy solidnie.

★

Szanowna Redakcjo!
Dopiero od niedawna jestem Waszym stałym czytelnikiem i nie wiem, czy to, o czym chcę napisać będzie prawdą. Ostatnio w „MM" pojawił się serial o „Zepach", wcześniej było coś tam o „The Rolling Stones" (bagatelka – 9 odcinków. Red.) *Wydaje mi się, że byłoby bardzo miło z Waszej strony, gdyby był to początek wspaniałej serii dotyczącej supergwiazd rocka. W moich najśmielszych marzeniach widzę kolejny odcinek serialu – Deep Purple. Sądzę, że grupa ta zasłużyła sobie, aby poświęcić jej nie tylko artykuł, ale cały serial. Potem mogłyby się pojawić następne grupy. Ot, choćby australijskie konusy AC/DC. Myślę, że nie jest to pomysł ściętej głowy (albo jej marzenie).*

DARIUSZ SKRZELA
Kraków

Red.: Na głowę trzeba uważać, AC/DC jak wyżej. Deep Purple chyba niebawem. Pozdrowienia.

★

Cześć!
Chodzi mi o reportaże, w których przedstawiane są zespoły takie jak, Rolling Stones (kiedyś) i The Doors (I część w 2 nr „MM"). Jeżeli możecie chciałbym (i na pewno wielu ludzi, którzy lubią ten typ muzyki), żebyście przedstawili tak znany zespół jak Sex Pistols. Żeby ukazały się fotosy tego zespołu i oczywiście okładki płyt, o które tak trudno. Wiem, że zespół ten już przedstawialiście, ale wydaje mi się, że to za mało... no i zdjęcia były czarno-białe (ale mniejsza z tym). Czekam w nadziei.

MARIO
Jarocin
(imię i nazwisko znane redakcji)

★

Na wstępie chcielibyśmy podziękować za artykuł poświęcony The Doors. (...) Jednocześnie doszliśmy do wniosku, że następnymi postaciami w tym cyklu powinny być: Jimi Hendrix i grupa Pink Floyd. (...) Byłoby niedopuszczalnym błędem po tak wspaniałych grupach jak The Rolling Stones, Led Zeppelin, The Doors (a wcześniej Janis Joplin) zamieścić coś innego. Tak, zgodzimy się z tym, że w tym czasie było wiele wspaniałych grup i wykonawców, ale trzonem byli właśnie oni. (...) Jesteśmy pewni, że w Polsce jest ogromna rzesza ludzi, którzy czekają razem z nami na artykuły w stylu biografii Led Zeppelin etc., dotyczącej wyżej wymienionych wykonawców.

DULEK I JAGGER
Żary

Red.: Były jeszcze listy o Zappie, Bobie Dylanie, Vanilla Fudge, Chicago... Cóż, jeszcze się taki nie urodził... Dziękujemy za „cynki", będziemy się starać je realizować.

★

W jednej z lutowych audycji „Zapraszamy do Trójki" usłyszałem komentarz dotyczący tekstu „Zazgrzytam zębami" z repertuaru Kobranocki. Radiowa zapowiedź tego utworu sprowadzała się do nakłonienia autora słów, aby skorzystał z porady lekarskiej. Zrozumiałem, że chodzi o konsultację psychiatryczną. Z tego względu, że zupełnie nieprzypadkowo jestem autorem tego tekstu, ośmielam się prosić redakcję o wydrukowanie mojego listu.

Poczułem, że potraktowano mnie jak Strindberga, któremu wrogowie zarzucali szaleństwo, bo do reszty nie mogli się przyczepić. Nie chodzi tu jednak o moją osobę, ale o pewne fakty.

Tekst piosenki frywolnie traktujący temat orientacji seksualnej – „Trzymaj ręce przy Irence" – wywołał taki opór w wydawnictwie płytowym, że singel Kobranocki nie ukazał się, mimo że firma straciła pieniądze na realizację nagrań. Utwór ośmieszający modę na narkomanię – „Wywróć się na lewą stronę" – był dyskwalifikowany za sam temat. Wreszcie nieszczęsna „Ela". Odniosłem wrażenie, że istnieje u nas niepisane prawo zakazujące wypowiadać się na temat dewiacji seksualnych albo narkomanii nawet psychiatrom.

Korzystając z okazji, że jestem niebezpiecznym dla otoczenia psychicznie chorym grafomanem, chciałbym gorąco zaapelować o tolerancję dla wszystkich chorych, którzy próbują coś tworzyć, a szczególnie dla psychotyków. Dla nich bowiem jest to znacząca forma terapii. Jesteśmy przecież tak wyrozumiali dla upośledzenia naszej fonografii, zasługującej na III grupę inwalidztwa. Tak łatwo godzimy się z faktem, że większość granego w kraju rocka nie zostaje nagrywana studyjnie, choćby dla potomnych. Jesteśmy pobłażliwi wobec okrutnej dla nas prawdy, że rozwój fonografii i jej nowej technologii w poważnym stopniu wszędzie jest torowany przez muzykę rockową.

Wiele kapel podobnych Kobranocce to na razie wiele „iskier", z których zamiast płomienia jest „zgrzytanie zębami". Jeśli więc ktoś ma odwagę wynurzyć „łeb z fekaliów" i wypluć prawdę, to sprawia wrażenie szalonego. Doceniam deserowość poobiedniego Programu III, tak bardzo dbającego o pralinkowość audycji gładkich jak pupka noworodka, bo wygolonych brzytwą decyzji komisji programowych. Nie należy więc do dobrego tonu obrażanie chorych psychicznie podczas konsumpcji bombonierki. Jeżeli już golimy to wszystkie pypcie. A jeśli będziemy usilnie poszukiwać niebezpiecznego wariata z brzytwą, to najprędzej możemy go spostrzec we własnym zwierciadle. Często z próżnej dbałości o gładkość własnej twarzy wyciska się pryszcze na nosie. Należy to jednak robić tak, aby nie potłuc lustra.

Zanim więc zasznurują mi kaftan bezpieczeństwa, gorąco namawiam wszystkich zainteresowanych: zrezygnujmy z polowania na wariatów i na czarownice, żeby przenieść swoje wyrzuty sumienia na niewinnie złapanych. Taka psychoza tłumu wydłuży mi kolejkę do gabinetu lekarskiego.

ANDRZEJ MAREK MICHORZEWSKI
specjalista psychiatra
Lipno

Red.: I co Wy na to?

IX PRZEGLĄD PIOSENKI AKTORSKIEJ

Czy wolno mi udzielić kilku rad młodym adeptom sztuki scenicznej, którzy pragną wziąć udział w konkursie następnego Przeglądu Piosenki Aktorskiej we Wrocławiu?

Ćwiczcie, kochani, donośność głosu i zamaszystość ruchów. Opanujcie arkana sztuki strzyżenia uszami, przewracania oczami i kręcenia odwrotną stroną medalu. Niechaj wasze ręce młynkują wokół głowy, ale jeszcze lepiej będzie, jeśli nauczycie się przestępować przy tym z nogi na rękę i vice versa. Gdy już będziecie mocni w akrobatyce wymienionych narządów, zacznijcie szukać tekstów do śpiewania. Im bardziej kabotyńskie wydadzą wam się w pierwszym czytaniu, tym lepiej! Muzyka może być mało skomplikowana. Grajcie walorami tekstu i plastyką ciała!

A teraz dowody, że nie nakłaniam naiwnych do artystycznego samobójstwa. Katarzyna O. przedstawiła ściśle według tej recepty skargę niewieścią na brutala, który uczynił wszystko, co brutale niewiastom czynić zwykli (szczegóły w tekście). Upoważniło to bohaterkę utworu do spontanicznego wyznania: *Mam prawo życzyć ci, byś zdechł!* Ale ponieważ nasze życzenia nie zawsze stają się dla losu rozkazem, przeto autor tekstu (niestety, nazwiska nie zdążyłam zanotować) ubezpiecza bohaterkę dodatkową szansą w postaci demograficznych następstw nieudanego związku. *Rodziłam dzieci, które kiedyś cię zamordują!* krzyczy na finał pani Katarzyna, a jury, porażone głębią tego wykrzyknika, przyznaje jej III nagrodę.

Moja sąsiadka na widowni – jak się później okazało: sędzia Sądu Rodzinnego – nie ukrywała zawodu. Podobne teksty – wyznała – słyszy podczas 9 na 10 „rozwodówek", ale jeśli w rozprawach uczestniczy z zawodowego obowiązku, to do teatru przyszła dobrowolnie, w poszukiwaniu wrażeń artystycznych. Szybko przywołaliśmy ją do porządku, radząc, by zamiast jałowych narzekań, wyprowadziła wnioski praktyczne: notuj, dobra kobieto, co ciekawsze kwestie z sali rozpraw, a potem sprzedaj to, jako literaturę, młodemu artyście, albo sama próbuj sił na amatorskiej scenie!

Inny przykład. Artur Z., wyjątkowo biegły w mimice (znacznie gorzej z dykcją) uczęstował nas m.in. *Romansem schizoidalnym*, w którym *rzygowinka* wespół z czymś nie do rozszyfrowania, *rzuca przykry cień*, a nawet więcej. Niestety, za sprawą dykcji artysty, ciekawość publiczności, co też jeszcze czynić może „rzygowinka", pozostała niezaspokojona. Ten drobny mankament nie przeszkodził jurorom w przyznaniu p. Arturowi wyróżnienia.

Od nieapetycznych konkretów pora przejść do wrażeń ogólnych. Całościowo biorąc, atmosfera konkursu nie odbiegała od atmosfery z lat poprzednich. Większość pań na czarno, melodramatycznie i w sprawdzonym, klasycznym repertuarze (patrz: I nagroda dla wykonawczyni *Rebeki*). Panowie nijacy – a na tym szarym tle muzykalny, obdarzony interesującym głosem i kulturą sceniczną Wojciech Kościelniak, zdobywca II nagrody.

Rzecz charakterystyczna: z punktu widzenia publiczności konkurs stał się ostatnio jednym z najmniej ważnych nurtów Przeglądu Piosenki Aktorskiej. Owszem, kibicują mu krewni i znajomi uczestników, przygląda się młodzież szkół artystycznych, rozważając – i słusznie! – własne szanse. Jednak większość bywalców imprezy bez żalu zapomniała, że wszystko zaczęło się od konkursu i że był on do niedawna osią i głównym celem Przeglądu. Obecnie najwięcej zainteresowania budzą recitale i spektakle muzyczne, czyli to, co

...BYŚ ZDECHŁ!

jest – a przynajmniej powinno być – ukoronowaniem pracy scenicznej śpiewającego aktora, nie zaś jego debiutem.

Ewolucja zainteresowań publiczności i wzrost wymagań stawianych uczestnikom Przeglądu, nastąpiły za sprawą (z winy?) jego organizatorów. Oferta Przeglądu Piosenki Aktorskiej w zakresie spektakli muzycznych jest z roku na rok atrakcyjniejsza, bardziej zróżnicowana, przetykana tzw. nazwiskami. A tak już jest, że coraz smaczniejsze kęski pobudzają apetyt na jeszcze wykwintniejsze dania. Wrocław może je serwować w zależności od poziomu krajowej kuchni. Nie popełnię błędu, jeśli napiszę, że wystarczy raz w roku uczestniczyć w tutejszym Przeglądzie, aby zyskać orientację, co godnego uwagi dzieje się w zakresie sztuki estradowej w całym kraju.

Wrocław jest tym szczęśliwym miejscem na mapie Polski, którego gospodarzom chce się od lat inicjować i firmować wartościowe poszukiwania artystyczne. A skoro tak, to udział w tutejszych przeglądach, festiwalach, spotkaniach, itp., jest przez profesjonalistów traktowany jako wyróżnienie i skrzętnie wpisywany do artystycznej biografii. Więcej: wrocławskie imprezy pobudzają różnych ludzi i środowiska do twórczych starań, których efekty proponuje się do oceny właśnie tutaj.

Wielu aktorów z warszawskich, krakowskich i innych teatrów, którzy czuli się niedowartościowani na macierzystych scenach, zaczęło pod wpływem Przeglądu Piosenki Aktorskiej sprawdzać swoje możliwości wokalne, szukać tekstów poetyckich, robić coś nowego – zamiast jałowego czekania na „swoje pięć minut" u pracodawcy. Owoce tych starań bywają bardzo rozmaite, ale niekwestionowaną zasługą Wrocławia jest pobudzenie środowiska do działania, do twórczych poszukiwań i przedstawiania własnych propozycji artystycznych. Jednym słowem: rola drożdży. Zaś amatorów do jedzenia wyrosłego na nich ciasta ciągle przybywa.

Tyle hymnu pochwalnego na cześć wrocławskich twórców i organizatorów kultury. Jakie przeżycia artystyczne stały się udziałem publiczności IX Przeglądu Piosenki Aktorskiej – dzięki ich staraniom i zabiegom? Kto we Wrocławiu miał podstawy do triumfu, a komu zbyt pochopnie otwarto kredyt zaufania?

Triumfowali, jak zawsze, wytrawni profesjonaliści. Myślę o profesjonalistach z trzech dziedzin: wykonawstwa, tworzywa artystycznego (tekstu i muzyki) oraz scenografii. W pierwszej z tych dziedzin – wbrew szyldowi imprezy – dyplom aktorski nie był ani koniecznym, ani wystarczającym warunkiem sukcesu. Właściwymi ludźmi na właściwym miejscu okazali się ci wykonawcy, którzy opanowali sztukę „splatania" słowa z dźwiękiem w spektakl sugestywny, niosący pewne przesłanie od autorów tekstu i muzyki, a równocześnie osobisty, własny, będący znakiem rozpoznawczym tej oto indywidualności scenicznej.

Jednym w stworzeniu podobnego spektaklu dyplom aktorski okazał się niepotrzebny. Talent i lata obycia z estradą pozwoliły im „chałupniczo", metodą prób i błędów, stać się wytrawnymi profesjonalistami. Myślę przede wszystkim o trojgu przedstawicielach estrady rockowej – Korze, Maryli Rodowicz i Czesławie Niemenie – którzy wprawdzie wystąpili tylko w jednym, galowym koncercie piosenek Agnieszki Osieckiej, ale jakież wywołali poruszenie! Każde z nich dało zgromadzonym (i tym na widowni, i tym za kulisami – przed lub po występie) lekcję scenicznej indywidualności. Każde dowiodło, że profesjonalista to ktoś, kto ma własny, niepowtarzalny klucz do interpretacji utworu, choćby zdawać się mogło, że wcześniejsi wykonawcy zbrzydzili nam go do ostateczności (patrz: *Okularnicy* w wykonaniu Kory).

Wśród profesjonalistów bez dyplomu aktorskiego muszę wymienić także Magdę Umer. Przywiozła ona do Wrocławia pełny recital i w ciągu 90 minut sprawiła, że nawet najbardziej jadowici recenzenci, którzy przyszli po to, by nie zostawić na niej suchej nitki, wychodzili cisi i wzruszeni, a potem (w najgorszym razie!) mówili, że *artystka i jej piosenki uniknęły niszczącego działania czasu*. Myślę, że stało się dużo więcej.

Pora przejść do profesjonalistów z dyplomami mgr sztuki i etatami w teatrach. Dwa recitale oczekiwane były we Wrocławiu z olbrzymią ciekawością: *Klipsy*, czyli piosenki z lat pięćdziesiątych, w wykonaniu Anny Chodakowskiej i Barbary Dziekan, oraz *Ziębnięte serce* w wykonaniu Ewy Dałkowskiej. Obydwa zgromadziły tyle publiczności, że każdy strażak, widząc tę ciżbę pod ścianami i w przejściach, dostałby ataku serca. Obydwa były przyjęte wręcz owacyjnie.

Istotnie, wszystkie trzy panie zademonstrowały znakomity warsztat aktorski, dużą muzykalność, dobre głosy, a nawet utanecznienie, które było gratisowym ozdobnikiem nie do pogardzenia. Ich profesjonalny triumf jest poza dyskusją, ale mnie ciągle trapią wątpliwości, związane ze scenariuszami i reżyserią obu recitali.

Myślę sobie mianowicie, że wystarczyło posłuchać nagrań, przejrzeć filmy i kroniki z lat pięćdziesiątych, albo po prostu zapytać rodziców, by wiedzieć, że tamte piosenki śpiewano radośnie i optymistycznie. Zacięty wyraz twarzy pań Chodakowskiej i Dziekan, ich ponury wzrok – ani chybi, tropiący „zaplute karły reakcji" nawet na bielańskiej karuzeli – stały się czymś w rodzaju perskiego oka do publiczności. Myślę sobie – czy tak świetne aktorki muszą godzić się na tak tanie chwyty?

W recitalu Ewy Dałkowskiej speszył mnie i zaniepokoił... nadmiar. Nadmiar form wypowiedzi: kuplety, wodewil, wielka literatura, satyra polityczna, liryka, melodramat... Na Boga, przecież recital to kameralny spektakl, a nie teleturniej, w którym trzeba umieć wszystko! Czy aktorka tej klasy musi stawać w teleturniejowe szranki?

Wśród spektakli muzycznych tegorocznego Przeglądu triumfowały dwa: *Decadance* według pomysłu i reżyserii Jerzego Satanowskiego, a w wykonaniu teatru „Nowego" z Poznania oraz *Róbmy swoje* w reżyserii Marcina Sławińskiego, z udziałem aktorów teatru im. Jerzego Szaniawskiego z Płocka.

Decadance zdobywa sobie widzów od momentu podniesienia kurtyn, a to za sprawą fascynującej scenografii Wiesława Olko. Jesteśmy we wnętrzu secesyjnej kawiarni (Wiedeń?) o dwóch poziomach, na których stale coś się dzieje: jeździ winda, cacuszko z epoki, działa także budka telefoniczna, a drzwi obrotowe na szczycie schodów za każdym obrotem serwują jakieś niespodzianki.

W tym pulsującym zdarzeniami wnętrzu rozgrywa się mroczny i przejmujący spektakl, którego teksty wzięto głównie z *Karnetu balowego* M. Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej i *Operetki* W. Gombrowicza, łącząc je najnowszą, „dekadencką" poezją. Teatr „Nowy" ma, jak się okazuje, aktorów świetnie dysponowanych głosowo, utanecznionych (np. Dorota Lulka i Paweł Binkowski to para, która z pewnością „kupliby" na pniu" teatry muzyczne w tej części świata, gdzie one istnieją), obecnych na scenie z pełnym zrozumieniem celu, dla jakiego się tam znaleźli. Cały spektakl rozgrywa się jakby za mgłą: nostalgii, piękna, którego już nie ma, fatalistycznych analogii w losach ludzi różnych epok...

Triumf jest tu potrójny: aktorów, scenografa i tekstów, którym czas nie odebrał poetyckiego blasku ani siły przekonywania. Wiesław Olko był także autorem scenografii do „Gali" – to nazwisko warto zapamiętać, ponieważ rekomenduje wielki kunszt profesjonalny!

Teatr z Płocka przywiózł spektakl opracowany na kanwie piosenek Wojciecha Młynarskiego. Zaczął fatalnie: od spacerów tzw. szarych ludzi w brzydkich płaszczach i noszenia gratów, co trwało 10 razy za długo. (Nawiasem: wiele dałabym za informację, czy uczestnicy tegorocznego Przeglądu umówili się, że będą zaczynali występy w płaszczach i z rekwizytami w postaci deficytowych artykułów wyposażenia wnętrz, czy taki był wymóg kierownika artystycznego, czy może artyści nie byli pewni losów swojej wierzchniej garderoby podczas scenicznych pląsów i woleli mieć ją na sobie? Dość, że większość wychodziła na scenę w płaszczach; nawet Ewa Dałkowska rozpoczęła swój ognisty show w wełnianej, zamaszystej kapocie).

Po spacerach w scenerii *Niedzieli na Głównym* było jeszcze gorzej: artystom łamały się głosy, ruchy mieli spętane, a miny wystraszone. Pewien pan starał się naśladować Młynarskiego tak wiernie, że aż do obrzydliwości. Pewna pani już po dwóch zwrotkach *Z kim tak ci będzie źle, jak ze mną* przekonała nas, że z nikim – w każdym razie z nikim śpiewającym!

W ciągu pierwszych 20 minut szeregi publiczności przerzedziły się znacznie, wyszli też co bardziej krewcy recenzenci. I popełnili błąd! Ominęło ich niecodzienne doświadczenie. Oto bowiem drętwa i prowincjonalna akademia ku czci W. Młynarskiego zaczęła z minuty na minutę przeobrażać się w coraz dynamiczniejszy i bardziej sugestywny spektakl! Koszmarne pierwsze wrażenie okazało się tylko paraliżem tremy. W drugiej części spektaklu wszystkie sympatie publiczności były już po stronie zespołu, który – w atmosferze wyczuwalnej aprobaty – rósł, pięknia! i ujawniał coraz to nowe, bogatsze możliwości. Wyeksponowano w spektaklu to, co dla tekstów Młynarskiego najbardziej symptomatyczne: ich publicystyczną ofensywność.

Sukces płockich aktorów był więc zarazem sukcesem tworzywa artystycznego: tekstów i muzyki. Ta sama piosenka – *Jeszcze w zielone gramy* – została we Wrocławiu zinterpretowana forte przez zespół z Płocka i pianissimo przez Magdę Umer. Choć zupełnie różne – były to interpretacje wielkiej urody.

Zdecydowanie i bez okoliczności łagodzących zbłaźniła się we Wrocławiu... Warszawa. To znaczy dwa spektakle muzyczne w wykonaniu warszawskich teatrów: *Kram z piosenkami* Schillera (teatr „Komedia"), który był kwintesencją artystycznej prowincji, oraz *Edith i Marlena* E. Pataki w inscenizacji aktorów teatru „Za dalekiego". To ostatnie przedstawienie prowokowało tzw. głupie pytania, w rodzaju: czy powinien śpiewać ktoś, kto jest niemuzykalny? Niech za komentarz do obu spektakli posłuży mi jeszcze jeden cytat z utworu prezentowanego (i nagrodzonego!) podczas konkursu. *Śmiech płacze, skrzydła opadają*. Amen.

EWA NOWAKOWSKA

IX Przegląd Piosenki Aktorskiej odbył się we Wrocławiu, w dniach 29 lutego–8 marca 1988 roku.


KORA



MEGADETH
So Far, So Good... So What!
Capitol
MANDATOR
Initial Velocity
Disaster

Od dawna szykowałem się na chłopaków z Megadeth. Co prawda nie denerwowały mnie wypowiedzi lidera zespołu Dave'a Mustaine'a mówiącego, że jego muzyka przeznaczona jest dla inteligentnych fanów heavy metalu, pozostających w opozycji do, jak to określał, normalnych zwolenników tego gatunku. Nie miałem mu nigdy za złe, że odszedł od Metalliki. Mustaine był zbyt dużą indywidualnością, by dzielić się pomysłami z innymi równie utalentowanymi muzykami. Uważałem Megadeth za mistrzów świata w wymyślaniu atrakcyjnych tytułów płyt (pierwszy LP – *Killing Is My Business.. And Business Is Good*, drugi – *Peace Sells... But Who's Buying?*, trzeci – jak wyżej). Miałem im jedynie za złe, że należy wykazać się nie lada inteligencją, by sprostać ich muzyce. Pamiętam jakim męczarniom musiałem się poddać, by zrozumieć Mustaine'a i jego kumpli. Chaos, jaki zespół zostawiał w świadomości odbiorcy trudny jest do opisania. Megadeth nie niszczył szybkością, potężnym brzmieniem. Zespół trenował słuchacza setkami zaskakujących pomysłów, zmian tempa, nietuzinkowych riffów, okraszonych niezbyt melodyjnym, absorbującym uwagę śpiewem Mustaine'a. Jeżeli nawet następował w muzyce moment odprężenia, wiadomo było, że prędzej czy później wszystko zostanie zdruzgotane, odwrócone do góry nogami, zamienione w piekło na ziemi. Gdy ktoś wypadał z tempa, zostając w tyle za pędzącą w nieznanym kierunku muzyką, mógł się ratować jedynie ucieczką w ciszę, bowiem pozostanie sam na sam z dziełem pana Mustaine'a groziło wówczas nabawieniem się choroby psychicznej. Kiedy dotarło do mnie, że wszystko robione jest umyślnie, to jedynym moim pragnieniem była – ZEMSTA! Wystarczyło jedynie poczekać na następną płytę.

Płytę mamy, zemsty nie będzie. *So Far, So Good... So What!* to bez mała arcydzieło. Czy oznacza to, że Megadeth radykalnie się zmienił? Nic z tych rzeczy. Zespół nadal dręczy nasz układ nerwowy. Dziś robi to jednak łagodniej. Muzyka stała się bardziej przejrzysta, aranżacyjnie doskonała. Nie musimy już wściekle gonić za pędzącym w nieznane zespołem. Mamy więcej czasu na podziwianie wielu atrakcyjnych i niepowtarzalnych rozwiązań, którymi z powodzeniem można by obdzielić płyty kilkunastu innych zespołów, mamy czas na zregenerowanie sił przed kolejną „bitwą" o utrzymanie równowagi stanu naszego ducha. Tym razem udało się muzykom opracować materiał do perfekcji i mam nadzieję, że szczęśliwa w thrash metalu liczba 3 (Metallica, Anthrax i Slayer, największe gwiazdy w tym gatunku odniosły światowy sukces dzięki swoim trzecim w dyskografii płytom) nie straci swojej magicznej mocy. Nie wyobrażam sobie, by twórcy doskonałej thrashmetalowej ballady *Mary Jane* i poświęconej pamięci tragicznie zmarłego basisty Metalliki Cliffa Burtona, równie znakomitej *In My Darkest Hour*, instrumentalnej *Into The Lungs Of Hell*, czy zamykających niespełna trzydziestopięciominutową *Liar* i płytę *Hook In Mouth*, nie zasiedli u boku wspomnianych tuzów na coraz wyższym thrashmetalowym piedestale. Jedynym nieudanym nagraniem jest przypominający mi czasy „niezorganizowanego" Megadeth utwór *502*, opowiadający o kolejnym dniu na trasie koncertowej. Denerwuje mnie także obecność znanego z repertuaru Sex Pistols nagrania *Anarchy In The UK*, w którego realizacji wziął udział były gitarzysta Pistols, Steve Jones. Umieszczenie tego utworu na płycie jest jedynym nieoryginalnym pomysłem Musteine'a, mającym na celu podbicie serc hardcorowej publiczności, która głównie dzięki grupie Anthrax zaczyna dziś tłumnie walić na koncerty metalowców (u nas nie do pomyślenia).

So Far, So Good... So What! uznana została za płytę lutego przez zachodnioniemiecki miesięcznik „Metal Hammer". Alex Gernant, twórca długiej recenzji albumu, podsumował ją takim oto zdaniem – *SO FAR, SO GOOD... SO BUYYYYYYY!!!* Zachęcające. Wielka szkoda, że nie możemy z tej oferty skorzystać!

Być może kiedyś natkniemy się w sklepach na debiutancki album holenderskiej grupy Mandator (dawniej Mysto Dysto), *Initial Velocity*. Wszak wydała go firma Disaster Rec., która sprzedała nam już pierwszą płytę grupy Exumer, a o ile mi wiadomo zrobiłaby to chętnie także z krążkiem zespołu Angel Dust. Holendrzy stoją dopiero u progu swojej kariery, mimo iż jeszcze jako Mysto Dysto wyprodukowali w lutym '86 r. płytę *The Rules Have Been Disturbed*. Tak jak większość młodych zespołów, grupę spotkało na starcie kilka niepowodzeń. Największe to producent płyty Thomy Ziegler, dzięki któremu Mandator, zamiast ziejącego metalem smoka, przypomina nam momentami fruwającą beztrosko pszczółkę. Złe brzmienie obniża ocenę płyty, a szkoda, bo Mandator to jeden z ciekawszych młodych europejskich wykonawców, jakiego ostatnio miałem okazję usłyszeć. Kompozytorzy utworów, gitarzyści Luit i Marcel, nie zdecydowali się jeszcze na ostateczny kształt proponowanej przez siebie muzyki. Serwują nam szybkie, standardowe thrashmetalowe utwory (*Attila, Faces Of Death, Power Of The Law, Posers*), przedzielając je zaskakująco sprawnie, ciekawie wykonanymi i zaaranżowanymi jak na tak młody zespół, rozbudowanymi kompozycjami *Black Rose, Jack Boots And Leather Caps, Evil Dead*. Szybki Mandator ma skłonności do nieco chaotycznej gry (*Posers*), a wokalista Peter ma najwyraźniej kłopoty z napisaniem interesujących linii wokalnych. Drugie oblicze zespołu jest już jednak dużo atrakcyjniejsze. Świadczy o tym np. fantastyczny *Jack Boots And Leather Caps* oparty na melodyjnym, ochrypłym śpiewie, przypominającym trochę Running Wild i długich partiach solowych, nie znęcających się bezmyślnie nad swoimi instrumentami gitarzystów, proponujących nam przez chwilę nawet „ciepłego i spokojnego" Santanę. Całość daje niepowtarzalny klimat daleki od przyjętych norm speedowania uprawianego przez setki innych zespołów. Warto dodać, że płytę zamyka nostalgiczna, ekspresyjna ballada *I Will Be Your Last*. Tego typu utwory, mimo doskonałych wzorów (np. Metallica) rzadko spotykane są wśród thrashmetalowców. Mandator ma okazję odnaleźć własny styl. Dużo większą szans daję mu w melodyjnym power metalu, typu *Jack Boots*, niż w speedmetalowym żywiole. Wszystko wyjaśni się mniej więcej za rok.

Punktacja: Megadeth (9), Mandator (6).

JACEK DEMKIEWICZ

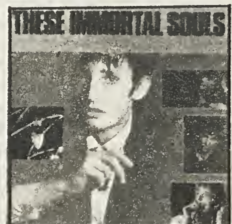




THESE IMMORTAL SOULS
Get Lost (Don't Lie)
Mute

Rowland S. Howard to jeden z najciekawszych twórców ostatnich lat. Nieustannie eksperymentuje, zakłada nowe zespoły, pomaga w nagraniach innych wykonawców. Początki jego działalności w Birthday Party, u boku Nicka Cave, zaważyły na dalszym muzykowaniu. Chociaż nigdy nie miał własnego sprecyzowanego stylu, poprzedni zespół Crime And The City Solution był zaczątkiem czegoś nowego.

Najnowszy pomysł Howarda nazywa się These Immortal Souls. W zespole tym Howard oczywiście odgrywa wiodącą rolę, ale ma u boku muzyków już doświadczonych. Album *Get Lost (Don't Lie)* jest jakby rozrachunkiem z jego dotychczasowymi inspiracjami. Odnajdujemy na nim kwintesencję brytyjskiego rocka lat osiemdziesiątych, rocka pokazanego przez pryzmat bluesa. Brzmienia osiągnięte na płycie, a także większość pomy-



słów to zapożyczenia. Ciężka atmosfera muzyki The Birthday Party w bezpośredni sposób wykorzystana została tylko w 2 utworach – *Hide* i *Blood And Sand She Said*. Pozostałe, może z wyjątkiem otwierającego album *Marry Me (Lie! Lie!)* przypominają o innych wielkich. O Elvisie Costello, Robercie Wyatcie, a nawet o zespołach The The i Spear Of Destiny. Bluesowy kamuflaż jest jednak perfekcyjny. Przy pierwszych próbach przesłuchania, poszczególne utwory z czymś się kojarzą, ale wyodrębnienie zapożyczeń wymaga bardzo uważnego słuchania. Muzyka These Immortal Souls jest prawdziwym rebusem. Temu kto lubi łamigłówki, płyta *Get Lost (Don't Lie)* musi się podobać. Najciekawsze są 3 najdłuższe nagrania: *These Immortal Souls* – elegancki temat, który jakby wyszedł spod pióra Elvisa Costello, *One In Shadow One In Sun* o wolno rozwijającej się fabule, oraz *I Ate The Knife*. Ten ostatni pełen jest słownego i muzycznego nonsensu. Aranżacja wszystkich utworów to gra kontrastów. Zestawienie fortepianu i gitary dodaje muzyce lekkości, ale jednocześnie oba te instrumenty są jakby na dwóch biegunach: tradycji i współczesnego poszukiwania.

Wykorzystanie cudzych pomysłów w celu stworzenia czegoś swojego, oryginalnego jest sztuką, która niewielu się udała.

(7)

PRZEMYSŁAW MROCZEK

GEORGE THOROGOOD AND THE DESTROYERS
Born To Be Bad
EMI

Image naszego bohatera jest bardzo wyrazisty: zagubiony, gniewny rock'n'roller. Wystarczy przyjrzeć się okładkom płyt (na każdej lider z odpowiednio ponurą miną) i przeczytać ich tytuły: *Maverick, Bad To The Bone* czy wreszcie *Born To Be Bad*. Thorogood występuje w rodzinnych Stanach już od kilkunastu lat, płyty nagrywa od dziesięciu: najpierw dla małej, specjalizującej się w muzyce etnicznej, niezależnej wytwórni Rounder, od kilku lat dla potężnej EMI. Nie zmienia muzyków akompaniujących: „od zawsze" towarzyszą mu basista Billy Blough i perkusista Jeff Simon. Kolejnym „Niszczycielem" został Hank Carter, saksofonista, wreszcie od dwóch lat zaledwie zatrudniony jest drugi gitarzysta – Steve Chrismar. Wszyscy są bez zarzutu; zresztą, bądźmy szczerzy: nie chodzi tu o wyrafinowanie techniczne, tylko o „czad". W tym Niszczyciele oraz ich szef (mistrz gitary slide) są niezastąpieni. Energia ich rozpiera tak, że niech się schowają heavymetalowcy! Tak grają, a co grają? Niezmiennie to samo: rhythm and blues i rock and roll. Ulubieni kompozytorzy Thorogooda to klasycy chicagowskiego bluesa (Elmore James, Howlin' Wolf, Willie Dixon, John Lee Hooker, Muddy Waters) i rock and rolla (Chuck Berry, Bo Diddley). Thorogood jest przede wszystkim wykonawcą; sam komponuje niewiele, a jego utworów nie sposób odróżnić od kompozycji jego idoli.

Muzyka zawarta na ostatnio wydanych LP nie różni się zbytnio od zawartości sześciu poprzednich płyt. Strona pierwsza zaczyna się żywiołowym *Shake Your Moneymaker* – napisanym przez Elmore Jamesa, a wykonywanym niegdyś przez Magic Sama, lub choćby przez Fleetwood Mac – kończy nie mniej żywiołowym *You Can't Catch Me* Berry'ego (pamiętacie Rolling Stonesów w tym numerze?). W środku jest jeszcze zaaranżowany á la Elmore James *Highway 49* Howlin' Wolfa (chyba najlepszy utwór na tej stronie – Thorogood gra dobrą partię slide i daje trochę miejsca Carterowi) i dwa rock and rolle lidera. Ani chwili na złapanie oddechu. Druga strona bezlitośnie rozpoczyna się rock and rollem *I'm Ready*. Dalej troszkę wolniej *(Treat Her Right)* – i znów podkręcamy tempo *(I Really Like Girls)*. *Smokestack Lightning* – bluesowy standard Howlin' Wolfa pozwala trochę odsapnąć, ale na koniec pozostawiono rock and roll: *I'm Movin' On*. Słowem: kawał żywej, radosnej muzyki w świetnym wykonaniu. W dobie Pet Shop Boys, Modern Talking czy Madonny – to jak łyk świeżego powietrza.

Gdybyście jednak nie mieli jeszcze żadnej płyty Thorogooda, a nie chcieli kupować wszystkich – odradzam kupno akurat tej; wolałbym *Live* sprzed dwóch lat, albo *Bad To The Bone* sprzed czterech. Na tej pierwszej słychać, jak dobrze zespół potrafi grać przed publicznością, druga zawiera bardziej zróżnicowany materiał. Ale *Born To Be Bad* oceniam wysoko – 7,5 punktu.

ADAM RUSEK



Go On **● MR MISTER ● RCA**

Prawdziwa rozkosz! Co za muzyka, jaki zespół, ależ płyta! Co ciekawsze na *Go On*, trzecim albumie amerykańskiego kwartetu Mr Mister, nie ma tak patetycznych i bombastycznych hitów jak pamiętne *Broken Wings* czy *Kyrie* z krążka *Welcome To The Real World*. Jest natomiast dziesięć innych, znakomitych utworów potwierdzających wielką klasę tego zespołu.

Jest taka elitarna kategoria, w której mieszczą się zespoły wzbudzające respekt i szacunek niemalże wszystkich muzyków i chyba w najbliższym czasie, obok tuzów, jak Steely Dan czy Toto, wpisana zostanie tam nazwa Mr Mister. Do takiego właśnie przekonania doszedłem, słuchając maniakalnie i to z coraz większą przyjemnością albumu *Go On*. Od strony warsztatowej jest to prawdziwy majstersztyk. Każdy utwór wręcz poraża ciekawą, oryginalną i wciągającą linią melodyczną oraz aranżacyjnymi subtelnościami. Ta muzyka posiada w sobie ogromny ładunek emocjonalny i dzięki uniwersalności zdaje się być idealną wypadkową różnych stylów. Jednocześnie Mr Mister brzmi jak nikt inny, a to przecież jest marzeniem każdego artysty.

Zgoda, *Power Over Me* przypomina nieco klimatem, „błądzącym" saksofonem i barwą głosu wokalisty, spokojne poczynania Stinga, ale nie może tu być mowy o żadnej imitacji. Mało tego, wolę bardziej przejmujący sposób śpiewu Richarda Page, który... też jest basistą. Gdy jeszcze wspomaga go rewelacyjny chórek, jak w gospelowym numerze *Healing Waters*, siła wokalna i instrumentalna Mr Mister nabiera dewastującej mocy. No i do tego te wspaniałe, przelotne solówki gitarowe Steve Farrisa. Tak oszczędnie, a jednocześnie z takim natężeniem, grają tylko najlepsi instrumentaliści, a za takich mam właśnie tych czterech panów. Ich finezja, subtelność i delikatność ma swoje apogeum w zdumiewającym protest-songu *Dust*. W pozostałych numerach, zależnie od nastroju Mr Mister cieniuje funkujące podkłady *(Tube)*, egzekwuje ostrego rocka *(Stand And Deliver)*, swinguje z drivem *(Control)*, lub gra najwyższej klasy pop *(Watching The World)*.

Jak na ironię najgorszą stroną tego albumu jest sama produkcja nagrań. Wprawdzie dysponuję płytą analogową, ale dawno nie spotkałem tak „stłamszonego" brzmienia. Ani porywające solówki gitar, ani okazjonalne kanonady prawdziwej perkusji nie mają tego miąższu, który można usłyszeć nawet na płytach przeciętnych wykonawców. Bez głębi, bez typowego „czadu" sterylnie wytłumiona muzyka sączy się z głośników zamiast atakować nasze zmysły. I to w czasach, kiedy zdolni producenci nie potrzebują już praktycznie muzyków do nagrania dobrego CD!

To mogła być jedna z najlepszych płyt ubiegłego roku: (9) za muzykę i wykonanie, (0) za produkcję.

ROMAN ROGOWIECKI



W zeszłym miesiącu na końcu niektórych recenzji płytowych pojawiły się tajemnicze cyferki w nawiasach. Są to punkty przyznawane płycie przez recenzenta:

1 – dno	**4 – słaba**	**7 – dobra**
2 – okropna	**5 – przeciętna**	**8 – bardzo dobra**
3 – zła	**6 – niezła**	**9 – znakomita**
		10 – rewelacja

THE STRANGLERS
All Live And All Of The Night
Epic

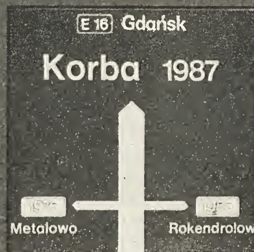
Czas jest nieubłagany. Kto 10 lat temu przypuszczałby, że The Stranglers w niedalekiej przyszłości będą jednym z klasyków rocka. Jak na klasyka przystało, po 9 płytach studyjnych zespół wydał wreszcie album koncertowy. Trzeba jednak przyznać – nie wzbudzający większych emocji. Zestaw 13 utworów, z których 12 zarejestrowanych zostało podczas koncertów w Paryżu (kwiecień '85), Londynie (marzec '87) i na Festiwalu w Reading (sierpień '87). Trzynastym nagraniem, zamykającym album, jest studyjna wersja przeboju Kinksów *All Day And All Of The Night*, od którego wzięto tytuł całego wydawnictwa. I to jedyne zaskoczenie.

All Live And All Of The Night jest w zasadzie przeglądem tego, co muzycy The Stranglers wymyślili przez ostatnie 11 lat. Okazuje się, że wiele nie wymyślili. W roku 1977 ich pomysły mogły szokować, dzisiaj, z perspektywy czasu, tracą na oryginalności. *No More Heroes* czy *London Lady* nie wywołują nawet nostalgii. Są tak samo normalne jak pozostałe utwory.

Program całej płyty składa się jakby z 3 bloków. W pierwszym, obok wspomnianego *No More Heroes*, pojawia się *Was It You* połączony z *Down In Sewer*. W tym ostatnim ciekawie brzmi sekcja dęta, która ratuje monotonię tego nagrania. Drugi blok to część komercyjna: *Always The Sun, Golden Brown, European Female* i *Strange Little Girl*, czyli największe hity zespołu zagrane dokładnie jak wersje studyjne. W połowie płyty robi się typowy greatest hits, jedynie z dodatkiem publiczności i zapowiedzi Cornwella. Album częściowo ratują właśnie zapowiedzi (!), które jednoznacznie wyjaśniają komercyjne intencje The Stranglers drugiej połowy lat osiemdziesiątych. Pomiędzy *European Female*, a *Strange Little Girl* padają słowa: *and now another heavy metal classic of ours (a teraz nasz kolejny klasyk muzyki heavy metal)*. Trzeci blok utworów jest najciekawszy. Zawiera 4 nagrania: *Nice'n'Sleazy, Toilet On The Sea, Spain* oraz *London Lady*. Pierwszy z nich jest wyjątkiem w całym zestawie. Zagrany na luzie, z przymrużeniem oka. Jazzująca wersja *Nice'n'Sleazy* to czysta zabawa z dźwiękiem, a użyty tam saksofon jest prawdziwym szaleństwem.

The Stranglers to wspaniali rzemieślnicy. Mają jedną z najlepszych sekcji, ale to nie wystarcza, by muzyka miała siłę. Kiedy wyczerpuje się inwencja, pozostaje tylko rzemiosło. No more heroes any more. (5)

PRZEMYSŁAW MROCZEK



KORBA
Motywacje
Polskie Nagrania

Wszyscy sympatycy zespołu Status Quo mogą czuć się w pełni usatysfakcjonowani po wysłuchaniu tej płyty. Zespół Korba wykonuje bowiem muzykę, której z przyjemnością słuchają sympatycy rocka w wieku „Chrystusowym". Piętnaście – mniej więcej – lat temu sukcesy święciły zespoły Sweet, Slade i wspomniany już Status Quo. Muzyka Polaków pozostaje w tamtym klimacie. Czy to zarzut? Tylko częściowo. Nikt bowiem w naszym kraju – poza Perfectem – nie wraca do tych „zamierzchłych" w historii rock'n'rolla czasów. Dlatego dobrze się stało, że są muzycy, którzy odważyli się nagrać muzykę, którą lubią, a nie „podpinają się" pod pseudoideologiczne frazesy. Mają przy tym za sobą kilka atutów takich jak: dobry autor tekstów, a Bogdan Olewicz to już firma przez duże „F" wśród rodzimych autorów tekstów; umiejętność pisania ładnych, chwytliwych melodyjek i wreszcie sprawne ich wykonanie. Do ujemnych stron twórczości Korby należy zaliczyć pewną monotonię, która cechuje materiał zawarty na debiutanckim albumie. Zdecydowanie lepiej prezentują się utwory rytmiczne, szybkie. Natomiast ballady są nieciekawe i często bez wyrazu.

Kolejny rozdział, który należy otworzyć przy recenzowaniu tej płyty, to realizacja nagrań. Temat ten powraca niczym bumerang przy pisaniu o większości polskich płyt. W tym przypadku jednak popełniono błąd nie do wybaczenia: wszystkie nagrania są „schowane jak gdyby za mgłą". Brak dynamiki i mało czytelny w niektórych miejscach wokal dopełniają czary goryczy, która z wie się realizacja. Słuchając płyty odnosi się wrażenie, że to nagrania pirackie, a nie wydane przez oficjalnie działającą wytwórnię i do tego największą w kraju.

Reasumując, należy stwierdzić, że płyta znajdzie na pewno wielu nabywców, ponieważ jest to niezły produkt (Korby a nie Polskich Nagrań) rockowy. Czy następne płyty – o ile będą – zwiększą popularność Korby, pokaże czas. A chwilowo posłuchajmy polskiego Status Quo. (3)

HIERONIM WRONA



VOO DOO
VOO DOO
Pronit

Oto ukazuje się kolejny debiutancki album nowego, nieznanego zespołu, któremu praktycznie nie towarzyszy żadna akcja promocyjna. Jak ma się sprzedać ta płyta, skoro nikt o to nie zabiega? Skończy się pewnie na tym, że po kilku miesiącach wydawca uzna, iż grupa Voo Doo nie sprawdziła się i drugiego krążka już nie będzie. W międzyczasie frustracja muzyków osiągnie stan wrzenia, kapela się rozleci lub zmieni nazwę i epizod pod nazwą Voo Doo przejdzie do historii. Szkoda, bo zespół rokuje nadzieje.

Pierwszy LP to z reguły świadectwo wpływu ulubionych wykonawców. Kwintet Voo Doo skutecznie opiera się, tak obecnie widocznej w muzyce młodych metalowców, inwazji thrash metalu. Należy do starszej szkoły Iron Maiden, stąd w jego nagraniach podobne próby rozwiązań harmonicznych i dbałość przede wszystkim o stronę melodyczną, bo o rozbudowanych aranżach jeszcze nie ma mowy. Motoryczna, choć mało przejrzyście nagrana sekcja rytmiczna stanowi platformę dla oszczędnych, mało odkrywczych, ale dostosowanych do klimatu utworów popisów pary gitarzystów. Wtłoczny w to wszystko głos wokalisty zadziwia brakiem tak nagminnej w tym gatunku histerii, czy choćby szorstkości, zaś interpretacja takich metalowych ballad, jak *Dzikie lustra* i *Nie będę* daleko odbiega od przyjętych w tej muzyce kanonów – Jarosław Błandziński śpiewa je niczym piosenki pop. Inna sprawa, że teksty pisane przez zespół – z wyjątkiem *Czasu Voo Doo* – nie są z piekła rodem, a utwór *Nie będę* wręcz zaskakuje swym liryzmem. I może to nagranie, albo wręcz przebojowa kompozycja *Dzwon serca*, powinny znaleźć się wcześniej na singlach.

Ten krążek jest próbą wejścia na rynek zespołu grającego poprawnie komercyjną odmianę muzyki heavy metal. Obawiam się jednak, że dla młodych fanów thrash i speed muzyka ta jest za miękka, zaś dla prezenterów radiowych zbyt wściekła. Płyta przepadnie, a jaki z tego wniosek wyciągnie Voo Doo – zobaczymy. (3)

ROMAN ROGOWIECKI

WILCZY PAJĄK

Tak się dzieje w naszym heavymetalowym światku, że co pewien czas, spośród kilku zespołów wybierany jest jeden, który ma zauroczyć wszystkich i stać się kolejną (dopiero czwartą) gwiazdą polskiej muzyki heavy metal. Po TSA był Kat, następnie Turbo. Najwyższy już czas znaleźć kolejnego „alpinistę" mającego szansę wdrapać się na metalowy szczyt. Wybór padł na grupę Wilczy Pająk, o czym świadczy uczestnictwo zespołu w trasie „Metal Battle 88", planowany, trzeci już występ na festiwalu „Metalmania", a także sesja nagraniowa drugiej płyty długogrającej. Jak zakończy się wspinaczka Wilczego Pająka? O teraźniejszości i przyszłości zespołu opowiadał mi w marcu lider grupy – gitarzysta PIOTR MAŃKOWSKI i wokalista LESZEK SZPIGIEL.

P.M.: – *Po „Metalmanii" rozpoczniemy rejestrację naszego drugiego albumu w poznańskim studiu „Giełda". Realizatorem nagrań będzie Piotr Madziar. Z brzmienia jakie osiągnęliśmy na pierwszej płycie jesteśmy bardzo zadowoleni. Nie powinno być zatem trudności przy nagrywaniu drugiego krążka. Muzycznie nadal hołdować będziemy thrash metalowi. To co przygotowujemy do drugiego albumu niewiele będzie jednak przypominało materiał z poprzedniej sesji. Postaramy się kontynuować linię przyjętą na składance „Metal Invasion". Materiał na pierwszą płytę był zlepkiem twórczości z prawie dwuletniego okresu naszej działalności, muzyka przygotowana na drugą płytę to propozycja całkiem świeża. Chcemy wprowadzić wiele nowych elementów, między innymi jeszcze bardziej skomplikowaną rytmikę i harmonię, w związku z czym zaistnieją tam nawet elementy jazz-rocka. W thrash metalu tyle zostało już powiedziane o rytmie, że trudno jest znaleźć dziś coś nowego, istnieje masa zespołów, które grają tak podobnie, że aż trudno je rozróżnić. Szukamy nowych rozwiązań, gdyż ciągle chcemy rozwijać się muzycznie. Dziś nie satysfakcjonuje nas już to co robiliśmy pół roku temu.*

L.S.: – *Zmieni się także mój sposób śpiewania. Będę używał górnych rejestrów skali głosu, czego nie robiłem na pierwszej płycie. Tematyka naszych tekstów również ulegnie zmianie, obejmować będzie głównie problemy z marginesu życia społecznego. Będę śpiewał o narkomanii, bezdomnych, porzuconych dzieciach, prostytucji. Nie interesuje nas żadna filozofia, śpiewamy o tym, z czym na co dzień spotykamy się na ulicy. Zresztą dla nas najważniejsza jest muzyka. Teksty pozostają na drugim planie.*

P.M.: – *Boli nas bardzo fakt, że nagrywamy już drugi album, podczas gdy pierwszy nie ujrzał jeszcze światła dziennego, bardzo komplikuje to nam życie na koncertach. Gramy trudną w odbiorze muzykę, pełną zmian rytmu, zaskakującą, wymagającą skupienia. Człowiek, który nie zna naszych utworów, nie będzie bawił się na koncercie, bo nie będzie rozumiał tego co gramy. To właśnie popsuło nam trochę wrażenia z trasy „Metal Battle". Ludzie nie byli chyba zbyt usatysfakcjonowani naszymi występami, jednak samej trasy nie zapomnę do końca życia. Jesteśmy wdzięczni Pagartowi i Metal Mind Production za to, że mieliśmy możliwość zagrania z zagranicznymi gośćmi. Wiele się nauczyliśmy, poznaliśmy wspaniałych muzyków, a największe wrażenie wywarł na mnie zespół Nasty Savage – grają bardzo oryginalną muzykę. Szkoda tylko, że publiczność przyjęła ich zbyt chłodno.*

Występ zespołu Exumer potwierdził moje przypuszczenia co do gustów naszych metalfanów. Okazuje się, że najbardziej cenią grupy typu Slayer, czy właśnie Exumer, grające prostą i bardzo szybką muzykę. To jest właściwie recepta na sukces w naszym kraju. Może to wydaje się dziwne, że wiedząc o tym, szukamy nadal własnych ścieżek, ale nasza muzyka musi przede wszystkim satysfakcjonować nas samych. Na świecie znakomicie wiedzie się grupie Megadeth, której muzyka jest bardzo bliska naszym ideałom. Wierzę zatem, że gdy ludzie usłyszą drugą płytę Wilczego Pająka, staną po naszej stronie.

Wysłuchał JACEK DEMKIEWICZ





LA MEN

INNA MUZYKA

Jeszcze gdy umawiałem się ze Zbyszkiem Liskiewiczem (l. 29), szefem La Menu, na długą rozmowę o zespole i jego pierwszym longplayu, który powinien ukazać się – zgodnie z tradycją Klubu Płytowego „Razem" – na przełomie kwietnia i września, w pewnym momencie zadał mi on trochę dziwne pytanie: *Czy nie sądzisz, że powinniśmy jeszcze z naszą muzyką poczekać?* Odruchowo odpowiedziałem: *Nie, dlaczego?* Potem jednak, gdy bardziej się nad tym zastanowiłem, dostrzegłem ukryty sens tego pytania.

La Men proponuje bowiem naszemu rockfanowi muzykę nową, odmienną znacznie od produkcji, która zalewa nas każdego dnia potokiem utworów płynących z radia, telewizora, czy większości koncertów. Nie, nie są superoryginalni, a źródła ich utworów łatwo można umiejscowić. Bez Roberta Frippa i jego kompanii King Crimson z pewnością nie byłoby muzyki La Menu. Ale to tylko inspiracja, nie tak dosłowna i jednoznaczna jak w przypadku wielu innych polskich zespołów. La Men kontynuuje tylko pewien kierunek myślenia, muzycznej wrażliwości.

Niełatwe zadanie zespołu polega na tym, iż chce dotrzeć do słuchacza nieprzygotowanego do odbioru takiej muzyki. Ilu młodych ludzi zna późnego Crimsona, tego z *Discipline, Beat*, czy *Three Of A Perfect Pair*. Przeskok z – powiedzmy – popu, metalu, czy panczurstwa w tę dziwną i nieprostą wcale krainę muzyczną, nie jest ani łatwy, ani przyjemny. Ale, ale... *Nie jest chyba aż tak źle* – mówi Zbyszek. *Często po naszych koncertach, których zresztą wiele nie gramy, przychodzi do nas kilku młodych ludzi zdziwionych, że polski zespół gra taką muzykę. Co ciekawe i dziwne nieco, kojarzą nas przede wszystkim z zespołem Rush, za którym, notabene, nie za bardzo przepadam, i z którym niewiele mamy chyba wspólnego.* To nie powinno jednak dziwić, bowiem z wykonawców grających „trudniejszego" rocka ten właśnie zespół jest u nas chyba najbardziej popularny. A więc jakaś furtka dla muzyki La Men istnieje.

Liskiewicz to typ faceta owładniętego całkowicie przez muzykę. Ukończył podstawową szkołę muzyczną, 10 lat studiował geologię, ale na czwartym roku dał sobie z dłubaniem w ziemi spokój. *Żyłem cały czas muzyką i to było dla mnie najważniejsze. Co chwilę zwalniałem się z zajęć na jakieś koncerty, pogrywałem w tym czasie w różnych zespołach jazzowych i rockowych.* W marcu 1985 r. założył La Men, zadebiutowali w Jarocinie, ale tylko na małej scenie. Nie pasowali do koncepcji polskiego rocka kreowanej przez Waltera Chełstowskiego. Ale są wytrwali i wytrzymali, zwłaszcza Zbyszek. Zna go już wiele osób z tzw. branży, niektórzy – szczerze mówiąc – mają go już serdecznie dość, bowiem dość często atakuje ich w sprawach związanych z zespołem. Może jednak w tym nienormalnym polskim pseudo-show-businessie tak trzeba?

Gdy pytam go, czy uważa się za lidera zespołu, najpierw śmieje się, by po chwili odpowiedzieć: *Umówiliśmy się, że jestem liderem zespołu.* To oznacza, że ma decydujące zdanie w sprawach repertuaru, jest wraz z wokalistą Pawłem Chrząszczem, współkompozytorem całego repertuaru oraz autorem wszystkich tekstów. No i menażerem. *Od początku interesowała mnie muzyka, która przetrwa długo i której zawsze będzie się z przyjemnością słuchało. Trzymam się kierunku wyznaczonego przez działania takich ludzi jak Robert Fripp, Peter Gabriel, czy ostatnio David Sylvian. Chcę grać taką, nie określoną do końca muzykę. Będzie się ona, uważam, długo bronić.*

Po chwili dodaje jeszcze: *Chcemy robić muzykę, w której przy dziesiątym przesłuchaniu słuchacz odkryje coś nowego. U nas niemal każdy dźwięk jest bardzo przemyślany.*

Porozmawiajmy więc o płycie. *Na naszym debiutanckim longplayu bardzo chcieliśmy umieścić utwory z pierwszego okresu działalności zespołu. Po prostu po to, by nie zginęły i przetrwał po nich jakiś ślad. Najstarszy utwór – „Piosenka o Tomaszu" – powstał 3 lata temu i była to w ogóle nasza pierwsza kompozycja, najnowszy pochodzi sprzed roku. Cały materiał zagrany jest, jak myślę, dobrze, ale techniczna strona realizacji tej płyty nie satysfakcjonuje nas w pełni.*

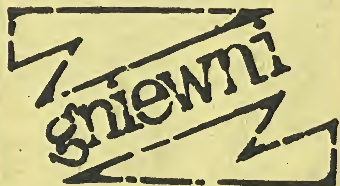
La Men stanął przed dylematem, na który niestety polskie zespoły często trafiają – nagrać płytę tanio, a więc szybko i w kiepskim studiu, czy nie nagrywać jej w ogóle. *Chcieliśmy ten materiał za wszelką cenę zarejestrować. Poza tym byliśmy pełni optymizmu. Wydawało nam się, że bez względu na to w jakim studiu będziemy nagrywać, zrobimy to dobrze. Rzeczywistość okazała się brutalniejsza.* Polskie mikrofony, 8-śladowy magnetofon, żadnych bajerów studyjnych – w takich warunkach powstał ten longplay. To słychać.

Czy płyta będzie więc dobrą wizytówką dla słuchacza, który z La Menem spotyka się po raz pierwszy? *Chyba tak, ale pokazuje on prawdziwe oblicze i możliwości grupy tylko w 51 proc.* Pozostałe 49 proc. bardzo chcieliby pokazać na drugim longu. Czy jednak kiedykolwiek go nagrają? Decyzja należy do Polskich Nagrań, które wstępnie wyraziły zainteresowanie.

To, że La Men dysponuje sporym potencjałem twórczym udowadniają dwa nagrania zrealizowane za własne pieniądze w studiu Teatru Stu, pod koniec ub. roku. *To tylko klown* i *Pokaż mi sie choć na chwilę* – są sporym krokiem naprzód w kierunku własnej tożsamości, nieco innego oblicza grupy. *W zespole za Frippem to właściwie tylko ja jestem. Reszta grupy* (Paweł Chrząszcz, (l. 27), wokalista, magister-inżynier metalurg, basista Jacek Fabrowicz (l. 20), student kulturoznawstwa, perkusista Roman Ślazych (l. 22), wyciągnięty ze średniej szkoły muzycznej) *szuka różnych nowych rzeczy. Wzbogacenie ostatnio brzmienia o instrument klawiszowy* (gra Maciej Aleksandrowicz (l.22), student prawa) *otwiera przed nami nowe możliwości...*

Najważniejsze jest to, że wiedzą, dokąd chcą iść i jak to robić. Potrzebują tylko, bagatelka, trochę szczęścia.

TOMASZ SŁOŃ



CZAR CHER

KTO pamięta *I Got You Babe,* przebój nr 1 amerykańskich list? Zapewne wielu naszych Czytelników wzruszy ramionami w odpowiedzi na to pytanie. Przecież w 1965 roku nie było ich jeszcze na świecie albo śpiewali w przedszkolu zupełnie inne piosenki. Ale prawie, i zupełnie, czterdziestoletni zapewne świetnie pamiętają duet Sonny And Cher, który światową sławę zawdzięczał właśnie temu hitowi. Później jeszcze trzy przeboje osiągnęły upragniony przez wszystkich artystów szczyt – *Grypsys Tramps Thiever* (1971), *Half Bread* (1973) i *Dark Lady* (1974) – ale śpiewała je już sama Cher. Mimo ostatnich sukcesów, wspomina jednak niechętnie ten okres. Uważa, że Sonny zawładnął wówczas jej osobowością – śpiewała tylko jego piosenki, ubierała się w to, co on wybrał, a nawet spotykała się tylko z tymi ludźmi, których on zaakceptował. W 1975 roku definitywnie rozstała się z Sonnym, prywatnie i artystycznie, postanowiła robić karierę na własny rachunek.

Cher, która naprawdę nazywa się Cherilyn Sarkisian i jest pół-Ormianką i pół-Indianką, obchodzi w maju swoje czterdzieste drugie urodziny i ciągle nie rezygnuje z zaskakiwania publiczności nowymi wcieleniami. A ma ich na koncie wiele i właściwie wszystkie przynosiły jej sukcesy, chociaż może nie wszystkie światowy rozgłos. Mało kto bowiem już pamięta, że po rozstaniu z Sonnym była gwiazdą w Las Vegas z niebagatelną gażą 350 tys. dolarów tygodniowo. Nie była to jednak kariera o jakiej marzyła od dzieciństwa – chciała być kimś wyjątkowym.

To marzenie zaczęło się spełniać, gdy w 1982 roku przeniosła się na Broadway, gdzie zagrała swą pierwszą prawdziwie dramatyczną rolę w sztuce reżyserowanej przez Roberta Altmana. Wtedy też prawdopodobnie uwierzyła, że może zostać prawdziwą aktorką. I, sądząc z dość licznych dowodów uznania, można by ją było za taką uznać. Już za rolę w swym pierwszym, w latach osiemdziesiątych, filmie *Silkwood*, właśnie ona otrzymała nominację do Oskara, chociaż jej partnerką była sama Meryl Streep. W dwa lata później, w 1984 roku, nakręciła najlepiej chyba znany w Europie film w reżyserii Petera Bogdanovicha, *Mask,* który przyniósł jej w Cannes nagrodę za najlepszą rolę kobiecą. Jej najnowszy film *Moonstruck,* który wszedł na ekrany kin amerykańskich w grudniu ubiegłego roku, również otrzymał nominację do Oskara. Między tymi filmami nakręciła jeszcze dwa – *The Witches Of Eastwick* i *Suspect* – i wprawdzie nie przyniosły one wielkich sukcesów, ale w pierwszym z nich grała z Jackiem Nicholsonem, co uważa za wielkie wyróżnienie i zaszczyt.

Czy to mało? Dla samej Cher chyba tak, bo chociaż niezłomnie wierzy w swój talent aktorski, ciągle nie dowierza publiczności, która, jak sądzi, chce ją widzieć tylko w jednej roli – tej wyznaczonej przed laty przez Sonny'ego. Ale Cher zbyt dobrze wie czego chce, stara się też nie mieć kompleksów z powodu braku przygotowania aktorskiego i nie zawsze poważnego traktowania jej jako aktorki. Wystrzega się więc ról komediowych i podkreśla to, co powiedziała jej kiedyś Maryl Streep – *grasz duszą, nie są Ci więc potrzebne studia aktorskie.* Nie wiem czy należy jej przyznać rację, wiem natomiast z całą pewnością, że sztuka aktorska Cher zasadniczo różni się od chłodnego, intelektualnego, wypracowanego w najdrobniejszych szczegółach aktorstwa Meryl Streep. W niektórych filmach jest po trochu sobą i być może dlatego właśnie one przynoszą jej największe sukcesy.

W życiu prywatnym Cher jest matką dorosłej córki z małżeństwa z Sonnym i kilkunastoletniego syna z krótkotrwałego związku z Greggiem Allmanem. Bardzo kocha syna i stara się być dla niego dobrą matką (to zupełnie jak w *Masce),* ale nie ma na to zbyt wiele czasu, żyje w sposób niekonwencjonalny i nie przejmuje się, co sądzą o tym inni. Kręcąc ostatnie trzy filmy, miała zaledwie kilkudniowe przerwy, a do tego należy jeszcze dodać nagranie nowego longplaya, show w RFN, debiut reżyserski w wideoclipie do *I Found Someone* z najnowszego albumu i... operację plastyczną nosa. W jednym natomiast różni się zasadniczo od bohaterki *Maski* – tamta kobieta była rozchwiana, słaba psychicznie, Cher natomiast doskonale wie czego chce, a chce sukcesu, sławy i pieniędzy, które namiętnie wydaje. Jak twierdzi jej były boyfriend, Gene Simmons – wokalista grupy Kiss, słabością Cher są ekstrawaganckie i szokujące ciuchy, potrafi na nie wydać w ciągu kilku minut równowartość luksusowego samochodu. Sądząc natomiast z jej życiorysu, można śmiało zaryzykować twierdzenie, że drugą jej słabością są mężczyźni i to najczęściej sporo młodsi. Obecnym partnerem Cher jest mający zaledwie 23 lata Rob Camilletti, który zadebiutował w *I Found Someone.* Ma urodę Sylwestra Stallone i wyuczony zawód piekarza.

To zabawne jednak, jak znów życie Cher splata się z filmem *Moonstruck,* w tej groteskowej opowieści włoska wdowa zrzuca żałobę i całkowicie zrywa z dotychczasowym życiem właśnie dla piekarza! Ale Cher nie jest sentymentalna i nie wierzy w przeznaczenie, nie wzruszają jej nawet takie imprezy jak ta, która odbyła się jesienią ubiegłego roku przed kamerami telewizji. Był to show, w którym wystąpiła razem z Sonnym, obecnie właścicielem restauracji w Palm Springs, znów śpiewając *I Got You Babe.* Płakał Sonny, ich córka Chastity i cała publiczność w studiu, ale nie Cher. Ona już dawno zamknęła ten rozdział w swoim życiu, chociaż nie zrezygnowała z roli rock and rollowej gwiazdy. Ale to zapewne tylko jedna z ról, jakie Cher ma zamiar jeszcze zrealizować w swym artystycznym życiu i, sądząc z dotychczasowych poczynań, pewnie jej się to uda. I pomyśleć, że swojemu najnowszemu przyjacielowi jawi się jako nieśmiała i nieporadna mała dziewczynka.

EWA MARCZYŃSKA



CHER z SONNYM (1966)



CHER z DONEM AMECHEM



CHER Z NICHOLSONEM w filmie *Witches*

Po długiej przerwie Cher ma „Top 10" hit w postaci singla *I Found Someone.* Jej talent aktorski sprawił, że otrzymała w kwietniu nagrodę Oscara za najlepszą rolę kobiecą w filmie *Moonstruck.* Krytycy widzą w niej nową gwiazdą srebrnego ekraju. Cher fascynuje i zadziwia!



CHER z ROBEM CAMILLETTIM

CHER